MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VIII. Nr 14 WARSZAWA, 1 CZERWCA 1928 R. CENA NUMERU 1 zł.

PLANY ROZBIORCZE I POLITYKA POLSKA

IDEOLOGJA twórców Traktatu Wersalskiego ujawniła się bardzo dobitnie przy wykreślaniu granic Państwa Polskiego. Podstawę stanowiły tu względy etnograficzne, pominięto natomiast względy polityczne i strategiczne. Dlaczego? Łatwo na to odpowiedzieć: wszak wojna, którą zakończono, miała być wojną ostatnią, nie było więc potrzeby dbać o to, jak nowopowstałe państwo będzie broniło swej niepodległości i swej całości, tem miała się zajmować Liga Narodów.

Nie przewidywano, że Niemcy i ich sprzymierzeńcy, skrzywdzeni przez traktaty narzucone przez zwycięsców, natychmiast po wojnie — jak to zresztą zawsze bywało w historji — zaczną pracować nad zniweczeniem tych traktatów i że wobec tego należy nowym państwom dać takie warunki bytu, by mogły się wobec tych łatwych do przewidzenia dążeń odwetowych obronić. Na to zaś trzeba było wykreślić ich granice zgodnie z wymogami polityki i strategji, w przewidywaniu przyszłych nieuniknionych starć wojennych. Napróżno wysuwała odpowiednie projekty Delegacja polska (sprawa Prus Wschodnich), napróżno działali w tym kierunku niektórzy członkowie Komisji do spraw polskich Konferencji pokojowej. Opierając się na podstawach ideologicznych, przyjętych przez Konferencję, wszystkie te projekty pominięto; Polska zaś, podobnie zresztą jak i inne nowe lub powiększone państwa Europy środkowo-wschodniej, otrzymała granice, urągające wszelkiej logice politycznej i potrzebom strategicznym. Odcięto od Pomorza powiaty Lęborski i Bytowski, zarządzono plebiscyty, które oddały Niemcom Warmję, Mazury i trzy powiaty na prawym brzegu Wisły, przez które idzie najprostsza linja komunikacyjna z Gdańskiem, nadano Gdańskowi absurdalny statut, pozostawiono Prusy Wschodnie w związku z Niemcami, wreszcie pozwolono Niemcom zachować górnośląski *place d'armes*.

Tymczasem to, co Niemcom w dziedzinie terytorjalnej zabrano na wschodzie, wystarczało, by wywołać w Niemczech dążenie do obalenia Traktatu Wersalskiego. Kto zna historję i geografję, ten wie, że Niemcy ze zwrotem Polsce Pomorza i Górnego Śląska pogodzić się nie zechcą. Sprawa nie była nowa, nie chodziło o jakieś przemijające nieporozumienia. Między Polską a Niemcami toczy się współzawodnictwo, mające już poza sobą tysiącletnią historję i współzawodnictwo, które żadnym kompromisem załatwić sią nie da, bo między Polską a Prusami zawiązał się węzeł tragiczny, który w ciągu wieków tylko żelazem był rozcinany, by się znów potem wikłać na nowo. Było rzeczą oczywistą, że z chwilą zniweczenia przez zwycięską koalicję dzieła Fryderyka Wielkiego, wytężą Niemcy wszystkie siły, by do tradycji swego wielkiego króla nawiązać. Znalazłszy się wobec Polski w tej samej sytuacji, w jakiej był rząd pruski w czasie przed pierwszym rozbiorem, nawiązały Niemcy współczesne do tych samych wskazań i do tych samych metod, jakie stosował wielki Fryderyk.

Przedstawiliśmy w artykułach poprzednich cele polityki powojennej Niemiec. Widzieliśmy, że p. Stresemann wychodzi z tych samych założeń przy ocenie zagadnienia polskiego, z jakich wychodzili Bismarck i Fryderyk Wielki. Tylko, stosując się do okoliczności, mówi obecny kierownik polityki zagranicznej Niemiec o dokonaniu rozbioru Polski na drodze pokojowej. P. Stresemann zna historję i wie, że w roku 1772 zdobyły Prusy Pomorze na drodze pokojowej i że tę zdobycz ratyfikował sejm polski.

Przedstawiliśmy dalej rozwój polityki powojennej państw zwycięskich, z czego wyprowadziliśmy wniosek, że polityka ta (genewska i lokarneńska) pomimo woli tych, którzy ją prowadzą, sprzyja wykonaniu planu niemieckiego. W atmosferze pacyfistycznej mogą odbudować Niemcy swe siły wewnętrzne i odzyskiwać sytuację polityczną w Europie. Pacyfizm rozbraja moralnie i materjalnie państwa zwycięskie, rozkłada sojusze i usypia czujność. Pacyfizm ten wytwarza warunki sprzyjające ugodzie niemiecko-francuskiej.

Jeśli mówimy tu o ugodzie niemiecko-francuskiej, to mamy na myśli system polityczny, który pacyfikację Europy i zapewnienie jej długiego, jeśli nie wiecznego, pokoju opiera, jak na opoce, na porozumieniu między Francją a Niemcami. Jest rzeczą zro-

zumiałą dążenie Francji do dobrych sąsiedzkich stosunków z Niemcami na podstawie istniejącego terytorjalnego *status quo*, lecz to, co dziś się rozumie przez porozumienie nad Renem, wykracza daleko poza takie postawienie sprawy. Zapominając o tem, że spór o granicę Renu między światem łacińskim a germańskim trwa już dwa tysiące lat, usiłują kierownicy polityki zewnętrznej Francji dojść do trwałego, na istotnem wyrównaniu sporu opartego porozumienia. Zapominają jednak, że pokojowemu współżyciu między Francją a Niemcami zagrażają prócz spraw rozgrywających się nad Renem także sprawy, mające swe ośrodki nad Wisłą i nad Dunajem. Francja stoi wobec następującej alternatywy: albo będzie chciała utrzymać powojenne granice w Europie wschodniej, a wówczas nie dojdzie do porozumienia z Niemcami, albo pozostawi wolną rękę Niemcom wobec Polski i Czechosłowacji, a Węgrom wobec Czechosłowacji, Jugosławji i Rumunji, a wówczas utraci sprzymierzeńców i wpływy w Europie środkowo-wschodniej i doczeka się tego, co było w wieku XIX-ym, gdy po rozbiciu Austrji pod Sadową nastąpił atak na Francję. Każdy logicznie myślący polityk, każdy, kto ma trochę wyobraźni politycznej, wie, że nie jest rzeczą możliwą prowadzenie równocześnie polityki lokarneńskiej i podtrzymywanie w całości postanowień terytorjalnych Traktatu Wersalskiego. Każdy postęp na drodze lokarneńskiej zbliża chwilę wystąpienia Niemiec z projektem rewizji Traktatu. Nie da się pogodzić z duchem Locarna utrzymanie okupacji Nadrenji, a usunięcie się wojsk francuskich z nad Renu prowadzi automatycznie do tego, że Niemcy postawią dalszy krok naprzód i wysuną na porządek dzienny sprawy przyłączenia Austrji i nowego rozbioru Polski. Czas już ostatni, by sobie zdawała z tego dokładnie sprawę opinja i kierownicy polityki polskiej. *Qui veut la fin, veut les moyens*, kto chce oprzeć pokój europejski na ugodzie francusko-niemieckiej, ten chce rozbioru Polski.

Im prędzej będzie to zrozumiane przez narody europejskie, tem lepiej nietylko dla nas, lecz i dla sprawy pokoju w Europie. Jest bowiem bardzo niebezpieczną rzeczą przypuszczanie, że możnaby dokonać inaczej rozbioru Polski jak z bronią w ręku. Zarówno czynniki odpowiedzialne, jak i społeczne w Polsce deklarowały wyraźnie i jasno, że o jakichkolwiek zmianach granic Polski mowy być nie może. Ważniejszem wszakże niż wszelkie deklaracje jest to, że w danym wypadku nie chodzi o jakieś drugorzędne terytorja, lecz o terytorjum decydujące o niezależności Państwa Polskiego. Niemcy wysuwają żądanie oderwania od Polski Pomorza, kraju rdzennie polskiego, od wieków z Polską związanego, i, co najważniejsza, kraju, przez który Państwo Polskie ma dostęp do morza. Tu wchodzi w grę nietylko uczucie, lecz oparte na doświadczeniu dziejowem i na geografji przeświadczenie, że bez Pomorza nie może istnieć Państwo Polskie. Leży w naturze rzeczy, wynika z położenia geograficznego, że gdyby przemoc dokonała na organizmie polskim operacji takiej, jaka była zrobiona w roku 1772-im (kiedy to właśnie zabrały Prusy Pomorze), to w ślad za tem musiałyby się z żelazną logiką powtórzyć wypadki roku 1793 i 1795. Kto godzi w Pomorze, ten godzi w niepodległość Polski. Kto przeto sprawę tę porusza, ten przygotowuje wojnę. W testamencie politycznym powiada Fryderyk Wielki, że „kto będzie posiadał ujście Wisły i Gdańsk, ten będzie miał większą władzę w Polsce, niż król, który w niej rządzi". Prawdę tę uznają wszyscy Polacy, wiedzą, że posiadanie całego biegu Wisły wraz z jej ujściem do morza jest warunkiem niezależności gospodarczej i politycznej Polski. Przekonanie, że dostęp do morza jest koniecznym warunkiem niepodległości, zdecydowało o stanowisku znakomitej większości narodu polskiego w czasie wojny europejskiej, postawiło Polskę w obozie państw sprzymierzonych, walczących z Niemcami, powstrzymało naród Polski od dania żołnierza Niemcom, co nie było bez wpływu na przebieg i wynik wojny. Dziś jest to jeden z niewzruszonych dogmatów polityki zagranicznej Państwa Polskiego.

Zasób sił, jakim Niemcy dziś rozporządzają, oraz sytuacja polityczna w Europie nie pozwalają im na realizację zamierzeń w stosunku do Polski z bronią w ręku. Lecz jest rzeczą jasną i dla każdego znającego choć jako tako stosunki międzynarodowe oczywistą, że Niemcy zamierzają przy pierwszej nadarzającej się okazji wystąpić z propozycją pokojowej rewizji postanowień terytorjalnych Traktatu Wersalskiego. Przygotowują sobie do tego grunt na drodze dyplomatycznej i za pośrednictwem rozgałęzionej propagandy we wszystkich krajach. Pomagają im w tem różne czynniki międzynarodowe. Tylko ślepi tego nie widzą. W tej sytuacji dalsze utrzymywanie w nieświadomości opinji polskiej byłoby wielce szkodliwe. Trzeba prawdzie patrzeć prosto i odważnie w oczy. Zadaniem zaś najważniejszem polityki polskiej w chwili obecnej jest uświadomienie opinji światowej, oraz niedopuszczenie do tego, by Niemcy wysunęli na porządek dzienny sprawę pokojowej rewizji postanowień terytorjalnych Traktatu Wersalskiego. Odpowiedzialność ciążąca na kierownikach polityki polskiej jest wprost olbrzymia, bo jeśli nie stanie na wysokości zadania dyplomacja polska, to kraj nasz zapłaci za to ofiarą z setek tysięcy swej młodzieży, która padnie, broniąc ziemi polskiej i niepodległości ojczyzny.

Obrona nowego powojennego porządku rzeczy w Europie odbywała się dotychczas na terenie genewskim i przez gromadzenie coraz to nowych gwarancyj papierowych. Kto się liczy z rzeczywistością, ten wie, że Polska ani się tym zabiegom przeciwstawić, ani też od nich trzymać się zdala nie mogła. Nawet państwa o wiele silniejsze i będące w lepszem położeniu nie mogły tego uczynić. Byliśmy w Genewie przy opracowywaniu Protokułu, podpisaliśmy Pakt lokarneński. I nie można było zrobić inaczej. Pakt lokarneński byłby doszedł do skutku i bez naszego udziału, wystąpienie zaś Polski przeciwko temu paktowi w warunkach ówczesnych było zgoła nie do pomyślenia. Rzeczą jedynie wskazaną było tedy, godząc się na rzecz nieuniknioną, zdobyć takie gwarancje, jakie w danym wypadku były możliwe i wyciągnąć korzyści, jakie się dało. W tych okolicznościach należało być przy zawarciu ważnego aktu międzynarodowego i znaleźć się w Lidze w tych samych warunkach, co Niemcy, a więc mieć stałe miejsce w Radzie. Nie należy tu do rzeczy rozstrząsanie, dlaczego polityka ta nie dała całkowitego wyniku, chodziło nam jedynie o wskazanie, że inne zachowanie się wobec paktu lokarneńskiego było wprost niemożliwe. Byłoby jednak wielkim błędem wyprowadzać z tego wniosek, że pakt lokarneński przyniósł korzyści Polsce, że dał nam gwarancję naszych granic i naszego bezpieczeństwa, że więc nadal należy prowadzić politykę zgodną z „duchem" lokarneńskim. Błędem też była inicjatywa rządu polskiego, która się wyraziła w poleceniu p. Sokalowi wystąpienia ze znanym wnioskiem na Zgromadzeniu Ligi w roku 1927-ym. Podpisanie paktu lokarneńskiego było zastosowaniem się do przykrej konieczności, zrobieniem sobie podstawy do wyciągnię-

cia z narzuconego przez okoliczności faktu takich korzyści, jakie wyciągnąć było można; wniosek zgłoszony przez usta p. Sokala był natomiast wyraźną afirmacją entuzjazmu lokarneńskiego w czasie, gdy już wiele się w Europie zmieniło i gdy było już daleko mniej w realnym układzie stosunków podstaw do takiego entuzjazmu, niż w roku 1925-ym.

Próba oparcia współżycia politycznego narodów na ideologji wilsonowskiej musiała zawieść. Nie liczyła się ona z podstawowemi prawami rządzącemi życiem narodów, oparta była na niczem nieuzasadnionem przypuszczeniu, że w roku pańskim 1919-ym nastąpiła zasadnicza przemiana w naturze ludzkiej, takiej, jaką dało nam poznać doświadczenie trwające całe tysiąclecia. Nie trzeba jednak sięgać ani tak daleko, ani tak głęboko. Są w polityce współczesnej oznaki, które każdemu umiejącemu patrzeć wskazują na to, że okres złudzeń genewskich ma się ku końcowi. Poza „duchem“ genewskim i lokarneńskim zaczynają się coraz częściej i coraz wyraźniej ukazywać zarysy nowego Koncertu europejskiego, a poza traktatami przyjaźni i arbitrażowemi zarysy przyszłych sojuszników wojskowych, skierowanych, jak to było zawsze ze wszystkiemi sojuszami, przeciwko komuś. Dziś już wskazać można na te czynniki, które doprowadzić muszą do złamania się całej budowy pacyfikacji Europy, opartej na Genewie i Locarno. Są to dążenia Niemiec do odzyskania przedwojennych granic i przedwojennego stanowiska w Europie, co prowadzi do postawienia sprawy polskiej i do zatargu zbrojnego nad Wisłą, zapowiadający się powrót Rosji na teren polityki międzynarodowej, prądy imperjalistyczne w Stanach Zjednoczonych, trudności, jakie piętrzą się w Anglji na gruncie przesilenia wewnętrznego i dążeń narodowościowych w Azji i Afryce, znakomite wzmożenie się sił wewnętrznych Włoch i szybki przyrost ich ludności, co wysunie szereg zagadnień na morzu Śródziemnem i na wybrzeżach Adrjatyku, przełom w wyczerpaniu wojennem Francji i przekonanie się kierowników polityki francuskiej o tem, że Genewa i Locarno nie są dostateczną gwarancją ani bezpieczeństwa ani całości terytorjalnej Francji — wreszcie nadchodzący zatarg na Oceanie Spokojnym. Możnaby wyliczenie to prowadzić dalej... Okres genewsko-lokarneński jest wyrazem i następstwem osłabienia powojennego państw europejskich, gdy osłabienie to przeminie, gdy zaczną się wyłaniać wielkie problematy międzynarodowe, tkwiące korzeniami w dziejach Europy, gdy zaczną się komplikować nowemi zagadnieniami, wyłaniającemi się z głębokich przemian, odbywających się w łonie narodów zamieszkujących inne kontynenty, wówczas pokaże się z całą oczywistością, jak wiele ułudy tkwiło w genewsko-lokarneńskich metodach zabezpieczenia pokoju i spokoju ludzkości. Wówczas to pod naciskiem konieczności życiowych będą musiały wszystkie narody powrócić do dawnych metod politycznych, zgodnych z prawami rządzącemi życiem ludzkiem na ziemi.

Zmuszą wszystkich do tego siły niezależne od woli ludzkiej, podobne ze swej natury do tych, które panują nad rozmnożeniem się rodzaju ludzkiego i kładą kres życiu jednostek i narodów. Wyniki jeno tego nieuniknionego rozwoju wydarzeń będą różne w zastosowaniu do różnych państw i narodów, zależnie do tego, czy dojrzą one sytuację międzynarodową i do niej się zastosują. Ci, którzy będą przewidywali i przystosują swą politykę zawczasu do zmieniających się okoliczności, unikną strat i będą mieli zyski. Ci, którzy z zamkniętemi oczami, siłą inercji, będą szli utartami drogami, będą zdystansowani i może zgubieni. Dziś stwierdzić należy, że w zachowaniu się państw europejskich widać wyraźną już pod tym względem różnicę: Niemcy są obecnie największymi w świecie pacyfistami, lecz pacyfizm ten uważają tylko za narzędzie do rozbrojenia i osłabienia domniemanych przeciwników, sami zaś przygotowują grunt, zasoby i środki do nowej sytuacji, gdy wszyscy będą się musieli zastosować do prawa równowagi, a zdecyduje siła — materjalna i moralna. Po stronie państw zwycięskich natomiast — z wyjątkiem Włoch — widać życie teraźniejszością i wiarą, że przez Genewę i Locarno da się obronić to, co zgodnie z tysiącletniem doświadczeniem ludzkości obronić można tylko krwią i żelazem.

Niemcy dążą otwarcie do nowego rozbioru Polski, a polityka ich pracuje w tym kierunku konsekwentnie i bez wytchnienia. Najbliższym etapem na jej drodze jest próba wysunięcia na porządek dzienny sprawy podziału Polski na drodze „pokojowej“. Grunt do wysunięcia tej sprawy wytwarza polityka genewsko- lokarneńska. Wobec powyżej wskazanych faktów nie może być bezczynna polityka polska. Błędem byłoby rozpoczynać akcję obronną dopiero wówczas, gdy nieprzyjaciel przygotował już wszystko do ataku ostatecznego. Dotychczasowa akcja obronna—pośrednia — odbywała się na gruncie genewskim metodami lokarneńskiemi. Licząc się z rzeczywistością akcji tej nie lekceważymy: Liga Narodów jest faktem, ma rzeczywisty wpływ na bieg wydarzeń na terenie polityki międzynarodowej, pakt lokarneński jest wyrazem stanu politycznego Europy powojennej, Polska jest do dziś jeszcze uważana za mocarstwo o „interesach ograniczonych“, musi się przeto stosować do panujących prądów i liczyć z wolą potężniejszych. Wiemy doskonale, że urzędowi przedstawiciele polityki polskiej nie mogą przemawiać tak swobodnie, jak niezależny publicysta polityczny, nie domagamy się przeto rzeczy nierealnych i niemożliwych. Postulaty nasze są ograniczone i skromne.

Pierwszym naszym postulatem jest, iż rząd polski winien już dziś prowadzić akcję polityczną zmierzającą do tego, by niedopuścić do wysunięcia przez Niemcy naprzód wobec opinji, a następnie wobec polityków europejskich sprawy rewizji postanowień terytorjalnych Traktatu Wersalskiego na drodze „pokojowej“. Wiemy bardzo dobrze, że nie było na świecie i nie będzie traktatów nienaruszalnych. Traktaty pisane — są wyrazem chwilowego układu sił i stosunków, trwają tak długo, jak długo trwa ten układ. A że siły poszczególnych narodów i państw są wielkościami zmiennemi, więc jest rzeczą niemożliwą petryfikacja traktatów. Jeśli mówimy o nienaruszalności postanowień terytorjalnych Traktatu Wersalskiego (bo z postanowień innych nie wiele pozostało) to nie dla jakiejś bałwochwalczej czci dla tego Traktatu, ani też dla przekonania, że istota jego jest inna, niż innych zawieranych w przeszłości, lecz dlatego, że postanowienia te odpowiadają obecnemu układowi sił, że rozwój Europy współczesnej idzie w kierunku wzmocnienia układu, który znalazł swój wyraz w Traktacie, że nowe powojenne rozgraniczenie narodów odpowiada rzeczywistości i jest postępem w dziedzinie sprawiedliwości międzynarodowej. Odbudowanie Polski i Czechosłowacji, zjednoczenie Rumunji i Jugosławji to są konieczności dziejowe, a granice, jakie tym państwom dano, mając gwarancję prawną w traktatach, posiadają prócz tego gwarancje realne w postaci woli niezłomnej tych narodów utrzymania swej niezależności i całości swoich terytorjów, oraz w postaci ich sił zbrojnych. Jeśli zaś mówić o Państwie Polskiem, to przyznane mu granice stanowią *minimum* tego, co pań-

stwu polskiemu do życia jest potrzebne, a stan wewnętrzny Polski zapowiada nie zmniejszenie natężenia jej woli narodowej i sił, lecz raczej stałe zwiększanie się tych czynników. Jeśliby więc układ sił w Europie miał prowadzić do zmian w traktatach, to w kierunku powiększenia terytorjum Polski a nie w kierunku jej zmniejszenia.

Drugim naszym postulatem jest to, że polityka polska już dziś powinna się przygotowywać do nowego układu stosunków w Europie, to znaczy do organizowania bezpieczeństwa i pokoju długotrwałego na podstawie sojuszów, zgodnie z zasadą politycznej równowagi. Nie zamierzamy się wdawać w przewidywania co do tego, jak będzie wyglądało to przyszłe ugrupowanie mocarstw światowych, na jakich będzie oparte porozumieniach i sojuszach. To jedno jest pewne, że Polska i Niemcy nie będą po jednej stronie barykady, chyba, że Niemcy się pogodzą z obecnym stanem rzeczy i że zdecydują się na rozstrzygnięcie tysiącletniego z nami sporu definitywnie, wyrzekając się ziem polskich i polityki opartej na wskazaniach Fryderyka Wielkiego i Bismarcka, polityki pruskiej.

Tak patrząc na położenie międzynarodowe, nie sądzimy jednak, by w polityce jedynie interes bezpośredni narodu należało mieć na względzie. Są sprawy i zagadnienia ponadnarodowe, które polityka państwowa uwzględniać powinna. Pamiętamy, że w wiekach średnich obrona wspólnej wiary łączyła państwa we wspólnych wysiłkach i wyprawach. I dziś w Europie są dwa zagadnienia, które wymagają współdziałania państw i narodów—sprawa utrzymania sprawiedliwszego i lepiej odpowiadającego rzeczywistości układu stosunków i granic międzypaństwowych, niż to było przed wojną, oraz konieczność obrony zagrożonej z różnych stron kultury helleńsko-rzymskiej, której bezpośrednimi obrońcami są narody łacińskie, lecz do której ma również prawo przyznania się naród polski. Oto są realne zagadnienia „międzynarodowe", a raczej ponadnarodowe, które mogą stać się przedmiotem realnej współpracy narodów. Podejmując je stanie Polska poza ramami wyłącznie narodowych interesów, lecz uniknie zagubienia się w mglistej atmosferze „ludzkości" i „pokoju powszechnego".

STANISŁAW KOZICKI

KONSERWATYZM RADYKALIZMU

JEŚLI pod nazwą „Wydawnictwo „Demos" zapowiada się ogłoszenie serji broszur politycznych, a jako autorowie wymienieni są na początek: Stanisław Thugutt, Stanisław Posner, Eugenjusz Smiarowski, Ludwik Chomiński — wówczas bez szczegółowych objaśnień wiadomo, jaka więź wspólna jednoczyć może wymienionych przedstawicieli różnych stronnictw w zbiorowej pracy w dziedzinie programowej i propagandowej. Można więź tę nazywać ogólnikowo „ideologją radykalną", w każdym razie jest to ideologja ta sama, która przy pomocy organizacji masońskiej tak wielki wpływ wywarła w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu na ustrój i politykę wszystkich niemal państw cywilizacji europejskiej.

Jako pierwszy tomik wydawnictwa ukazał się zbiór artykułów Stanisława Thugutta p. t. „W obronie parlamentaryzmu".[1]) W uwagach niniejszych, do których napisania pojawienie się tej książki dało okazję, nie chodzi ani o krytykę stanowiska obrońców parlamentaryzmu w dzisiejszej jego formie, ani tem mniej o próbę dokładniejszego określenia wielkiej roli, jaka w zastosowanym do warunków współczesnych ustroju Polski przypaść powinna we właściwy sposób powołanemu przedstawicielstwu narodowemu. Nie tyle teza zasadnicza książki p. Thugutta jest interesująca, ile raczej sposób jego argumentacji, droga jaką dochodzi do swych wniosków, postawa psychiczna, jaką przybiera w ich obronie.

P. Thugutt, jak oświadcza odrazu na wstępie, jest „gorącym zwolennikiem tego typu ustroju, który naszkicowała nasza Konstytucja", a zatem „republiki parlamentarnej". Daleki jest jednakowoż od entuzjazmu i wiary bezwzględnej, z jaką radykałowie ubiegłego stulecia oczekiwali od ustroju demokratycznego sprowadzenia ery rzeczywistej wolności i równości, zrealizowania ideału rządów mądrych i sprawiedliwych. Występując w obronie ustroju, wprowadzonego przez Konstytucję 17 marca, nie jest p. Thugutt skłonny zbyt pochopnie powoływać się na „bezwzględną" wartość teoryj i zasad, których Konstytucja ta była wyrazem. Myśli jego toczą się inną zupełnie koleją. Na pytanie „Jaki ma być ustrój Polski?"—odpowiada: „Sprobujmy dojść do wniosku metodą eliminowania koncepcyj najmniej odpowiednich... Pozostaje... republika. Wszyscy znamy jej wady, choćby dlatego, że najlepiej zna się wady ustroju, w którym się żyje. Nadszedł jednak czas, kiedy nie spuszczając z oka jej wad, słuszne byłoby wyżej cenić sobie jej bezsporne zalety". P. Thugutt bynajmniej nie kryje się z obawą, że „narzucanie narodowi ustroju, uznanego teoretycznie za najlepszy, nie rokuje widoków stałości"; denerwuje go, iż „szuka się za wszelką cenę nowych sposobów, idąc do celu naprzełaj z pominięciem dróg"... już wypróbowanych. „Znakomita większość narodu francuskiego", — pisze — „narzekająca na swój parlament, pamięta jednak, że przy jego istnieniu zaleczone zostały rany wojny francusko-pruskiej, dokonane głęboko sięgające reformy... I tu jest sedno sprawy. Na to, żeby mieć minimum zaufania do systemu parlamentarnego pomimo jego wad organicznych, trzeba mieć mocno wbite w pamięć wady innych systemów, jeszcze niebezpieczniejsze, jeszcze bardziej nieuleczalne".

Wybitny pisarz angielski lord Hugh Cecil w książce swej p. t. „Konserwatyzm"[2]) temi słowy opisuje „konserwatyzm wogóle":

> „W każdym niemal umyśle tkwi głęboko niedowierzanie obcej nam rzeczy, oddające pierwszeństwo doświadczeniu nad teorją. Dają temu wyraz znane przysłowia, jak: „Zmierz nim przeskoczysz", „Lepszy wróbel w garści, niż kanarek na dachu"... Każda nowość na pierwszy rzut oka wydaje się zwykle dziwną i większa część ludzkości uważa taką nowość za błahą lub nawet za niebezpieczną... Bierzemy oto dziennik do ręki i czytamy o bardzo polecanym środku na chorobę, która nas trapi, ale środka tego jednak nie kupujemy. Te leki zwykle bywają bezskuteczne, a czasem nawet szkodliwe. Za mało znamy się na medycynie, aby osądzić, czy dany środek jest rzeczywiście kuracyjny, czy też tylko oszukańczy; przyzwyczajeni zaś jesteśmy do innego lekarstwa, które chociaż nie doskonałe, jednak ulgę nam przynosi; po co je zmieniać? Rozsądniej jest dać temu spokój".

[1]) Stanisław Thugutt „W obronie parlamentaryzmu" Warszawa — Wilno 1928 r.

[2]) Lord Cecil Hugh „Konserwatyzm" z angielskiego przełożyła Adamowa z Wodzickich Starzeńska, Warsz. 1915.

Oczywiście, można dawać różne bardzo definicje konserwatyzmu i stosownie do nich rozmaicie oceniać jego wartość. Jedno wszakże nie ulega żadnej wątpliwości: opisany wyżej sposób myślenia nie może stać się źródłem żarliwości, zapału, gotowości do wielkich wysiłków i poświęceń w walce o instytucje i zasady, których z takich pobudek się broni. Zachowawczość tego rodzaju najdalsza jest od bohaterstwa i entuzjazmu. Może w niej wyrażać się zrozumiałe, a nawet chwalebne poczucie odpowiedzialności, jeżeli przedstawiciele prądów nowych nie decydują się burzyć porządku, wytworzonego w okresie poprzednim, dopóki sami nie przygotują się dostatecznie do zastąpienia go natychmiast innym, doskonalszym. Ale jeśli liberalny demokrata, radykał, w podobny sposób odnosi się nie do jakichś pozostałości ustroju monarchicznego czy feodalnego, lecz do konstytucji, będącej całkowitem niemal urzeczywistnieniem jego poglądów i dążeń, wówczas w stanowisku takiem widzieć już należy jedynie potwierdzenie nieodparcie nasuwającego się wniosku: radykalizm dzisiejszy traci wiarę w wartość zasadniczych swych idej.

Brak wiary w słuszność wyznawanych przez siebie zasad wyrażać się także musi — rzecz zrozumiała — w gotowości do kompromisów, łatwości przystosowywania się do warunków chwili[3]). P. Thugutt, będąc „gorącym zwolennikiem tego typu ustroju, jaki naszkicowała nasza Konstytucja" a stwierdzając przytem, że „Konstytucja jest już dzisiaj tylko kawałkiem pożółkłego papieru, miejscami dość mocno podartego" wypowiada równocześnie opinję, że nikt „bardziej nie nadawałby się do stanięcia na czele... ruchu odrodzeńczego, niż Piłsudski z jego wielkiem imieniem, nieposzlakowaną reputacją, niesłychaną popularnością". A przecież p. Thugutt, ze względu na wierność swoim zasadom, jest jeszcze nieomal hrabią Henrykiem w okopach naszego liberalno-demokratycznego radykalizmu. Inni wprost, jak ów Książę z „Nieboskiej", szepcą: „To wszystko dobre dla gminu, ale mówiąc między nami"... Zwłaszcza, skoro w okopie ich, czy też w loży, pojawił się, jak w „Nieboskiej", Ojciec Chrzestny (tym razem niekoniecznie chrześcijanin), oświadczając: „Wielki mąż, który mnie przysłał, obiecuje wam życie, bylebyście przyłączyli się do niego"... Zwłaszcza, skoro „wielki mąż" był przyjacielem, nie wrogiem i obiecywał nietylko życie, ale życie wygodne, władzę, zaszczyty... Radykalizm polski w ostatnich latach potrafił dawać tak pouczające widowiska, jak np. obrona „dekretu prasowego" na łamach *ultra*-liberalnej „Epoki".

Takie zjawiska są właściwie w obecnym stanie rzeczy najzupełniej zrozumiałe. Prąd silny, twórczy, może zawsze jak organizm żywy rozrastać się, rozwijać, zmieniać zewnętrzne swe kształty, nie przestając jednak ani na chwilę być sobą. Organizm martwy natomiast może tylko albo zeschnąć się jak mumja, albo ulec rozkładowi naskutek działania atmosfery. Jeśli chodzi o losy radykalizmu polskiego, to pod wpływem ciepłej atmosfery majowej nastąpiło raczej to drugie zjawisko.

Zanik myśli twórczej w obozie radykalno-masońskim, wynikający z utraty wiary w słuszność jego założeń, nie jest zresztą kryzysem lokalnym, lecz powszechnym, który można obserwować w całym świecie. Zamiast poprzedniego rozpędu, coraz częściej widoczna jest troska o zachowanie zdobytego stanu posiadania, zadowalanie się powtarzaniem zużytych haseł, które stają się tylko formułą konwenansu, obowiązującego dziś w rokowaniach dyplomatycznych czy przemówieniach parlamentarnych. Współczesny typ polityka z loży masońskiej, z emfazą wygłaszającego mowy „o wielkich ideach demokracji i postępu", coraz częściej podobny bywa do ateisty, dyplomaty Wieku Oświecenia, z całą powagą podpisującego traktat, rozpoczynający się inwokacją: „W Imię Trójcy Przenajświętszej"...

Radykałowie polscy, w zakresie idej żyjący wyłącznie, niewielkim zresztą, importem z zagranicy, a całą uwagę skupiający na zagadnieniu taktycznem dojścia do władzy lub utrzymania się przy niej, tem mniej mogli być zdolni do zdobycia się na jakąkolwiek twórczą myśl przebudowy. P. Thugutt otwarcie przeciwstawia się jakimkolwiek istotniejszym zmianom ustroju Państwa, obawia się, że mogą to być zmiany tylko na gorsze, głosi hasło: „Tak jak jest, maszyna może iść". Ale w poglądzie tym nie jest bynajmniej odosobniony. Na cóż bowiem zdobył się łamiący ową „maszynę" obóz „przewrotu", jeśli nie na... utrzymanie dawnej ordynacji wyborczej i pokierowanie wyborami do Sejmu w ten sposób, że jakakolwiek głębiej sięgająca naprawa wydaje się w nim niemożliwa do przeprowadzenia?

JAN REMBIELIŃSKI

[3]) Klasycznym przykładem w ten sposób objawiającego się „konserwatyzmu" jest krakowskie stronnictwo t. zw. „Stańczyków" oraz ulegające jego wpływom ugrupowania zachowawcze. „Rozwaga", wyrażająca się brakiem wiary w potęgę idej, których mieli być obrońcami, doprowadziła ich do popierania każdego panującego w danej chwili porządku, w obawie, że następny mógłby okazać się gorszy, a także z rachubą uzyskania dzięki takiej taktyce największych natychmiastowych korzyści dla warstwy, z której rekrutują swych zwolenników. Zespolenie zachowawców z radykałami w Bezpartyjnym Bloku Współpracy z Rządem dlatego dało się przeprowadzić tak łatwo, ponieważ unja ta dokonana została na warunkach całkowitej równości: obie strony jednakowo wyparły się swych ideałów.

O IDEI JAGIELLOŃSKIEJ

GŁOSNO było o niej w dyskusjach politycznych, gdy Józef Piłsudski szedł wiosną r. 1919 na Wilno i w słynnej odezwie, zaczynającej się od wyrazów „Wasz kraj" wzywał ludność kresową, by postanowiła o swoim losie. Znów przypomniano jagiellońskie tradycje w r. 1922, gdy sejm ustawodawczy w zgodzie z sejmem wileńskim dążył do zespolenia Wileńszczyzny z resztą Polski w jedno nierozdzielne ciało, wbrew polityce Naczelnika Państwa, który chciał Wilno połączyć z Kownem, aby oboje luźniejszym węzłem związać z Polską. Z pomocą historyków nauczyliśmy się wtedy w dziejach przeciwstawiać wolnościowe zasady Jagiellonów zasadom absolutystycznym Habsburgów i Hohenzollernów, w teraźniejszości zaś traktować ideę jagiellońską jako przeciwieństwo nacjonalizmu. Idea jagiellońska miała służyć za drogowskaz wszystkim przeciwnikom koncepcji państwa narodowego przy rozstrzyganiu kwestji litewskiej, ruskiej, niemieckiej, a nawet żydowskiej; na nią przysięgnąć miał każdy, kto nie chciał wpaść w ciasną uliczkę nacjonalizmu utożsamianego z hakatyzmem.

Brakowało tylko ziemskiej treści i prawniczych konturów owej czcigodnej pamiątce. Dotychczas niewiadomo, kto ją pierwszy sformułował, lub choćby wymienił jej hasło. Niemało przyczynił się do jej spopularyzowania Juljan Klaczko, który w trzechsetną

rocznicę Unji lubelskiej (1869), a w rok po śmierci K. Szajnochy, nawiązując do znakomitej monografji o „Jadwidze i Jagielle“ przypomniał Europie „*Une annexion d'autrefois*“: kiedy propaganda bismarckowska wmawiała światu, że zabór duńskiego Szlezwiku (1864) był triumfem demokratycznej zasady narodowościowej, on pokazał obłudnikom, jak przed wiekami łączyli się „wolni z wolnymi, równi z równymi“ — i związek ten ironicznie nazwał aneksją. Jednak ani Klaczko, ani, o ile wiemy, Szujski, ani Kalinka, nie ujęli tych pouczających faktów w hasło „idei jagiellońskiej“. Również nie uczynił tego St. Tarnowski, który w przedmowie do polskiego wydania „Aneksji“ pisał pod ubocznym wpływem Krasińskiego: „Był kraj, który się rozszerzał; był naród, który przyłączał; było państwo, które potężniało bez kłamstw i oszustw i zdrad, bez krzywd i gwałtów, bez... zabierania tego co cudze. Był taki kraj, taki naród, taki rząd, który imienia Bożego nie nadużywał do swoich zaborów, imienia prawa do swoich bezprawi, ale imię Boże i prawo Boże niósł, gdzie znanem nie było; świeckie, ludzkie, wolne prawo nadawał ludom nie mającym praw żadnych, i przez to, tym jednym czynem granice swoje rozszerzył“.

Później Stanisław Krzemiński, wychowanek idej 1848 r., pisząc o Jagiellonach w „Wielkiej Encyklopedji Ilustrowanej“ (XXXI, 381-2), stwierdził (1493)—może pod wpływem Stef. Buszczyńskiego—że całość haseł, pod któremi dokonano unji Korony z Litwą, „składa się na t. zw. ideę jagiellońską, której określenie całkowite, zaokrąglone, nikomu jeszcze się nie udało, której jednak główne współczynniki w Koronie i w wirze jej dziejów wyrobione, na jaw już wyprowadzono. Pierwszym jest tu równość społeczna między panującemi warstwami w obu częściach jednej całości... Dalej idzie obwarowanie praw osobistych, zapewnienie własności allodjalnej, nietykalność tradycyjnej wiary religijnej, herezji tylko odmawiana, a w XVI wieku w najzupełniejszą swobodę wyznań... wykształcona. Prawa polityczne przynosiło samo istnienie dynastji... Pojęcie i potrzeba samorządzenia się... wyrobiły w umysłach rządzących i rządzonych poczucie jakby obowiązkowej federacji... Dążenie do unji... jest wreszcie największym, inne uzupełniającym żywiołem, jakby sklepieniem całej idei“. Podobnie brzmi definicja p. Witolda Kamienieckiego, świeżo ogłoszona w „Kwartalniku Historycznym“ (1928, str. 209):

„Idea Jagiellońska jest to system polityczny, polegający na przyciągnięciu do Państwa Polskiego w drodze dobrowolnych akcesów, unij, terytorjów ościennych, wypełniających obszar geograficzny między Karpatami i Bałtykiem. Utworzona w drodze unij Rzplita Jagiellońska opierała się w swojej budowie na następujących zasadach: ustrój związkowy (Korona — Litwa), w jego obrębie autonomje poszczególnych części składowych, administracja złożona z miejscowych obywateli, równouprawnienie językowe, tolerancja wyznaniowa, rozwój demokratycznych wolności obywatelskich, uzgodnienie patrjotyzmu państwowego Rzplitej z patrjotyzmami lokalnemi i lokalno-narodowemi, apostolstwo cywilizacji zachodniej“.

Każdy przyzna, że powyższa formuła może się rozciągnąć także na czasy przyszłe i wypracowana z udziałem uczonych idea jagiellońska staje się atutem w rękach polityków czynnych, zajętych porządkowaniem spraw między Karpatami a Bałtykiem i Dnieprem. Oskar Halecki przyznaje, że go do ogłoszenia cennych „Dziejów Unji Jagiellońskiej“ wzywały wypadki współczesne. „Triumf tych praw moralnych, który w cudowny sposób przywrócił nam wolną Ojczyznę, uzasadnia nadzieję, że także idea jagiellońska, święta spuścizna jej dawnych dziejów, mimo nieprzezwyciężonych napozór przeszkód, może się ziścić nanowo. Ona jedna, nawrót do jej tradycji, może rozwiązać dziś, jak w XIV lub XVI wieku, problem trwałej odbudowy Wschodniej Europy“. Aby jednak te złote wieki jagiellońskie „należycie zrozumieć i ocenić trzeba stosować wyższe kryterja, aniżeli doraźny interes własnego tylko narodu, ciasno i egoistycznie pojęty“, a więc to tylko „uznać... za czynnik postępu w dziejowym rozwoju, co zbliżało do siebie trzy narody unją objęte“. Publicysta Wojciech Baranowski w przedmowie do wydawnictwa „Polska i Litwa w stosunku dziejowym“, gdzie głos zabrali tacy uczeni, jak Wł. Abraham, X. J. Fijałek, Al. Brückner, Wł. Semkowicz, St. Kutrzeba, określa tych autorów jako grono ludzi „pragnących zgody“, a niechęć do zgody przypisuje także „nowym warstwom społecznym polskim na kresach“. Na przyszłość dał ciekawą ilustrację jagiellońskiej polityki Stanisław Bukowiecki. Nakazem naszej racji stanu jest takie porozumienie z Litwą („Polityka Polski niepodległej“, 1922, str. 103), by ta ostatnia otrzymała „dwa kantony zupełnie równoważne, z zupełnem równouprawnieniem narodowości w obu. Kanton wileński o charakterze polskim nie powinienby ograniczać się tylko do Litwy Środkowej... w interesie naszym leży, aby objął i dalsze ziemie obecnego województwa Nowogrodzkiego... Państwo Litewskie z tych dwóch kantonów, a może i z trzeciego kłajpedzkiego złożone, znajdowałoby się w stałej unji z Polską, a więc zawarłoby z nią konwencję wojskową, handlową, celną, monetarną i komunikacyjną... Takie rozwiązanie sprawy byłoby snuciem naszej tradycji historycznej i to najlepszej, będącej najwybitniejszym dokumentem naszego rozumu stanu, poczętej w Horodle, rozwiniętej w Lublinie“. Wynikałoby stąd prawidło „jagiellońskie“ dla potomnych: jeżeli kraj A czuje się częścią twojej narodowej całości, a ty chcesz mieć unję oraz konwencję z krajami B i C, to postaraj się wbrew życzeniom ludności A związać ten kraj z B i C, w nadziei, że one może zechcą zawrzeć z tobą unję i konwencję.

Zbyt łatwą mielibyśmy sprawę, gdyby chodziło o zestawienie tej recepty z faktami historycznemi. Wiek XX niewiele ma zagadnień identycznych z zagadnieniami wieku XV, więc i dyrektywy stosowane w nim muszą brzmieć odmiennie, choćby wyrastały ze wspólnej tradycji. Chodzi atoli właśnie o szersze tło ideowe wspólne dla wielu wieków, płodne za czasów Jagiełły i podobno obiecujące jeszcze dzisiaj. Na czem ono polega? Jakie to tendencje apelują dziś do cieniów jagiellońskich, na jakiej podstawie historycznej? W dzisiejszem rozumieniu idea jagiellońska oznaczać ma przeciwieństwo zaborczego imperjalizmu nazewnątrz, tudzież państwa narodowego nawewnątrz, oznacza jaknajszerszy samorząd dzielnicowy i kulturalny oraz indyferentyzm państwowy wobec różnic narodowościowych, językowych i religijnych w kraju. Syntezą pierwszego i drugiego pierwiastku będzie federalizm —wolne współżycie ludów na świeżem powietrzu, pod wspólnym lekkim i niekosztownym dachem, gdzie się zaciera granica między polityką wewnętrzną i zewnętrzną, między tem, co moje i twoje.

Czy ktoś przed rozbiorami coś podobnego stworzył lub sformułował? Zachowały się po królach i mężach stanu jagiellońskich ułamkowe słowa, z których przebłyskuje ideologja napozór zbliżona do powyższego ujęcia. Znane są wzniosłe słowa aktu horodelskiego, łagodne odezwania się i orędzia Zygmunta Starego, ojcowskie rady Zygmunta Augusta dla sej-

mujących stanów, jego testament, jego listy do postronnych monarchów, gdzie ostrzega przed okropnościami rządów moskiewskich czy osmańskich. Ale żaden przedstawiciel tej dynastji nie powiedział nam wyraźnie, jaki system polityki zewnętrznej i wewnętrznej uważa dla siebie i następców za obowiązujący. Szczęściem, lepiej od słów świadczą o ideach czyny. Z tej olbrzymiej księgi dziejowej można wyczytać ideę jagiellońską za pomocą ścisłej interpretacji pobudek osób działających przy ścisłem uwzględnieniu okoliczności zewnętrznych, które nieraz zmuszają męża stanu do postępowania wbrew elementarnej pobudce. Rzeczywista idea jagiellońska—to wcielenie pewnego ideału lub niekiedy tylko uczuć w realnych zmiennych warunkach historyczno-geograficznych XIV, XV i XVI w.

Akcentujemy wyraz zmiennych, aby zaznaczyć, że dążność zrodzona nad Wilją w wieku XIV musiała inny przybrać kierunek w wieku XVI nad Wisłą, niż gdyby ją umiejscowiono nad Dnieprem. Prawdą jest, co mówił dr. Fryderyk Papée w Krakowskim Towarzystwie Historycznem (27 kwietnia 1928), że już Gedymin praktykował pewne zasady, które przyjęli jego następcy: dążność do zagarnięcia całej Rusi z Moskwą, utrzymanie silnej władzy senjora rodu książęcego, oparcie o Polskę, zjednywanie dobrowolnych akcesów książąt lennych i pozostawianie ich ludom pewnej dozy autonomji. Ale czy Zygmuntowie nie okażą się odstępcami od tych zasad? I czy pokryją się one z koncepcjami np. Krzemińskiego lub Kamienieckiego? Śmiemy wątpić i dlatego zaryzykujemy poniżej próbę rewizji „idei jagiellońskiej".

Nasamprzód, co do naszej polityki zagranicznej XIV, XV i XVI wieku wiadomo, że nie wytryskała z jednego rodzinnego źródła, nie polegała ona na samem wyciągnięciu opiekuńczych ramion ku sąsiednim ludom. Unja krewska i horodelska były dziełem panów małopolskich; dalsza ekspansja dynastyczna—sprawą Zbigniewa Oleśnickiego i Kazimierza Jagiellończyka; załatwienie sprawy pruskiej—zasługą czy też winą Zygmunta I i jego doradców senatorów koronnych; unja lubelska z Litwą, Prusami i cząstką Śląska—połowicznym wynikiem kampanji, prowadzonej przez izbę poselską. Towarzyszyła tej polityce do 1515 roku, a poniekąd i dłużej ambitna rywalizacja z Habsburgami. Zwłaszcza Kazimierz Jagiellończyk i Elżbieta Austrjaczka „matka królów", dwoje, pełni poczucia dynastycznego, uprawiają imperjalizm dynastyczny nie gorszy od andegaweńskiego albo habsburskiego: chcą mieć Czechy dla Władysława, Węgry dla św. Kazimierza lub Olbrachta, Litwę dla Aleksandra, Mołdawję lub duży kawał Śląska dla Zygmunta, z tą myślą przewodnią, aby Polska całego tego konglomeratu była ośrodkiem i ostoją. Są podobieństwa między dynastyczną polityką Jagiellonów oraz Habsburgów i jest ta ważna różnica, że nasi książęta z większem zamiłowaniem i lepszym zrazu sukcesem zabiegają o dobrowolne poddanie się obcych krajów pod ich zwierzchnictwo. Zdarzają się zresztą na tem polu niekonsekwencje. Kazimierz IV sięga po Czechy w r. 1471 na podstawie wolnej elekcji królewicza, Węgrom zaś przytacza swoje tytuły dziedziczne, naprzekór swobodnie wybranemu Korwinowi. Małżeństwa Jagiellonów i Jagiellonek służą oczywiście, jak wszystkie związki rodzinne władców, celom politycznym, choć niekoniecznie prowadzą wprost do ekspansji: tylko ślub Zygmunta I z Barbarą Zapoly, oraz córki jego Izabelli z Janem Zapolyą zmierzają do utrzymania Węgier pod jagiellońskim wpływem. Małżeństwo Aleksandra z Heleną Iwanówną, Zygmunta z Boną, jego syna z 2 Austrjaczkami miały umacniać pokój z niebezpiecznymi sąsiadami Polski—Litwy. To samo dotyczy ślubów Jagiellonek z książętami Brandeburgji i Brunświku. Zresztą na tem polu nie umieli Jagiellonowie dotrzymać kroku Habsburgom, jako wynalazcom zasady: *Bella gerant alii, tu felix Austria nube.*

Niewątpliwie politykę jagiellońską wobec sąsiadów cechuje wielka łagodność, dobroć i pokojowość. Niewątpliwie też pomagali sobie wobec zagranicy tem, co stanowiło ich słabość w rządzie wewnętrznym: kto tak hojnie rozdawał swoim przywileje czerwińskie, nieszawskie, temu chętnie poddawali się Czesi, Prusacy i Węgrzy. Raz jeden podjęto zdobywczą w pomyśle, katastrofalną w wykonaniu wyprawę na Wołoszczyznę (1497 r.) i raz wzięto pod opiekuńcze skrzydła cudzych poddanych (1454), parę razy popierano zbrojnie swe prawa do Czech i Węgier. Pozatem same słuszne rewindykacje lub akty samoobrony. Brakło tygrysich instynktów—ale brakło i środków wojennych, w których posiadaniu rozwijają się zdobywcze ambicje: kto miał takie wojsko, jak Kazimierz IV pod Chojnicami, lub Aleksander pod Wiedroszą, kto tyle klęsk poniósł we własnym kraju w walce o reformę wojskową jak Zygmunt Stary, kto miał taką lichotę pod bronią, jak Zygmunt August na Litwie, ten mógł się wysilać na doraźne masowe mobilizacje (1474, 1497, 1520, 1557 i 1567), ale napierać planowo w pożądanym kierunku nie mógł.

Naogół wschód stanowił teren mniejszego oporu i Litwa za czasów swej odrębności wielkoksiążęcej tem właśnie wynagradzała sobie dziesięciokrotnie straty poniesione od Krzyżaków. Podobną pokusę miała, a poniekąd zapożyczyła sobie od Litwy Korona. Trzeba jednak przytoczyć na zaszczyt dla Jagiellonów fakt, że umieli okiełznać imperjalistyczne na Rusi zapędy w imię wyższej narodowo-państwowej racji stanu, zorjentowanej ku zachodowi. Najwymowniejszym umiejętności tej dowodem traktat Kazimierza Jagiellończyka z Moskwą z r. 1449, zmierzający do rozgraniczenia sfery wpływów Litwy i Moskwy: gdyby ten wielki książę nie został dopiero co królem polskim i nie przeniósł świadomie punktu ciężkości swej polityki ku granicy niemieckiej, Litwa utonęłaby w „podbitych" bezmiarach wschodu, przestałaby być wogóle Litwą. Polski rozum stanu, mianowicie wzgląd na Bałtyk, Czechy i Węgry stale kierował ręką Kazimierza IV, a po nim Zygmunta I, polska racja stanu wykazała się w polityce bałtyckiej Zygmunta Augusta i w programie Karnkowskiego wobec Gdańska, a i działalność Radziwiłła Czarnego w Inflantach było również odwróceniem się od tego co dziś chętnie pozorujemy „jagiellońską" tradycją, tj. od bezprogramowego eksperymentowania na Rusi.

Owoce zbieraliśmy przeważnie w formie umów, paktów, przymierzy—i to prawda. Owe *pacta foederis* były wstępnym krokiem do zespolenia dependencyj z jądrem państwa: traktat i hołd lenniczy osiągnął Zygmunt Stary w walce z Albrechtem, *pactum subjectionis* i znowuż hołd Kettlera, Zygmunt August w zapasach o Inflanty. Również i stosunek z Mołdawją, pospolitą drogą wiódł przez umowę do hołdu. Tak kazała konieczność—więcej nie można było osiągnąć wśród rywalizacji z sułtanem na jednym froncie, a Moskwą, Danją, Szwecją, Cesarstwem Niemieckiem na innym. Ale to nie znaczy, żeby polityka jagiellońska wyznawała zgóry jakąś doktrynę federalistyczną. Przeciwnie, jak każda inna polityka realna, uważała ona całkowite zlanie nowych ziem z macierzą za cel najpożądańszy, i taki właśnie cel, tj. inkorporację, osiągnął Kazimierz Jagiellończyk na najważniejszym odcinku pomorskim nad Wisłą.

(Dok. nast.) WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

WSPOMNIENIE O KAROLU PIEŃKOWSKIM

Por. Stanisławowi Pieńkowskiemu na pamiątkę wspólnej służby to wspomnienie o jego stryjecznym dziadzie poświęcam.

W ROKU ubiegłym minęło pięćdziesiąt lat od śmierci Karola Pieńkowskiego*), „literata i poety, człowieka, jaśniejącego niegdyś talentami i zapowiadającego świetną przyszłość", który „zostawił ślady znacznego, choć ściśle subjektywnego talentu", jak o nim napisał Zygmunt Sarnecki we wzmiance pośmiertnej w „Echu" (Nr. 83. z 17 kwietnia 1877 r.). Inny dziennikarz i literat Kazimierz Władysław Wójcicki przyznaje jednocześnie, że był to „literat i poeta niepośledniego talentu" („Bibljoteka Warszawska" 1878 r. t. II. str. 375.).

Człowieka tego całe życie, działalność i dość obfita spuścizna literacka zostały zapomniane zupełnie. W żadnej historji literatury nie znajdziemy jego imienia. Nawet profesor Korbut, który w swej „Literaturze Polskiej od początków do powstania styczniowego" potrafił z niepamięci wydostać tyle nazwisk i wyznaczyć im miejsca w literaturze ojczystej, nie wspomina o nim słowem. Czemże on zawinił, że potomni, tak skrzętnie nieraz gromadzący dorobek ubiegłych pokoleń, wykreślili go z pośród ludzi, godnych ich uwagi? Czy istotnie nie zasłużył na dobre wspomnienienie i czyż nie godną jest lepszej doli jego spuścizna?

Karol-Franciszek-Salezy Pieńkowski urodził się 15 czerwca 1836 roku we wsi Zawadki pod Turobinem niedaleko Krasnegostawu, z ojca Jana — podówczas funkcjonarjusza ordynacji zamojskiej i wójta gminy, oraz matki Franciszki Śliwickiej. Wywodził się ze szlachty dziedzicznej herbu Suche Komnaty, a za protoplastę w tej gałęzi rodu miał prapradziada Józefa Pieńkowskiego, sprawującego w pierwszej połowie XVII stulecia urząd burgrabiego grodu ostrowskiego. Synem burgrabiego był Szymon, wnukiem Jakób, prawnukiem Jan-Konstanty ojciec Karola.

Ojciec jego, po ukończeniu łukowskiej szkoły wojewódzkiej rozpoczął w 1823 roku zawód urzędniczy jako aplikant w zarządzie warszawskiej policji. Posunięty w dwa lata potem na adjunkta, w czasie powstania listopadowego znalazł się w szeregach narodowych. Za to po upadku powstania usunięty ze służby państwowej, od 1833 do 1846 r. spędził w Lubelskiem w ordynacji zamojskiej. Tam się ożenił z Franciszką Śliwicką i tam przyszło na świat czworo dzieci: Adolf-Tomasz (ur. 31, XII. 1834 r)., Karol, Michał na (ur. 24. XI. 1840 r.) i Jan-Franciszek (ur. 20. V. 1844 r.). Dopiero w 1846 roku na skutek ammestji otrzymał stanowisko pomocnika sekretarza w kancelarji zarządu warszawskiego oberpolicmajstra. Wrócił więc do Warszawy i tu już pozostał na stałe. Awansując powoli, dosłużył się wreszcie stopnia komisarza policji wykonawczej cyrkułu XII na Pradze, w 1861 r. przeszedł na emeryturę i w dziesięć lat potem zmarł we wsi Pieńkach w Siedleckiem, w sześdziesiątym szóstym roku życia.

Rodzice choć niezbyt zamożni starali się Karolowi jak i rodzeństwu dać wystarczające dla karjery życiowej wykształcenie. Karol, ukończywszy w 1851 roku czteroklasową szkołę powiatową w Warszawie, rozpoczął zrazu aplikację w warszawskim magistracie, lecz po dwóch latach wziął dymisję i wstąpił do wojska. Przydzielony jako prosty żołnierz do szkolnego pułku karabinierów w Moskwie, przebył w nim rok zaledwie, gdyż z powodu wątłego zdrowia nie mógł podołać trudom żołnierskiego życia. Wraca więc w 1855 roku do Warszawy, gdzie zostaje urzędnikiem w kancelarji zarządu ordynacji zamojskiej. W trzy lata potem, w 1858 r., pragnąc pogłębić swą wiedzę, udaje się do Petersburga, by zapisać się na wydział prawny uniwersytetu. Nie zrywa jednak kontaktu z warszawskiem środowiskiem młodzieży radykalnej, która w okresie przedpowstaniowym odegrała tak znamienną rolę.

Wtedy właśnie w latach 1859 i 1860 dookoła Karola Majewskiego ucznia Szkoły Sztuk Pięknych (który w czasie słynnej manifestacji 8 kwietnia 1861 roku, ranny pod kolumną króla Zygmunta, został aresztowany, następnie zesłany na Kamczatkę), zaczęło grupować się grono przeważnie z młodzieży, mającej z czasem odegrać wybitniejszą rolę w powstaniu. W gronie tem widzimy poetę Tadeusza Komara, Stanisława Krzemińskiego, Bolesława Żmijewskiego, Aleksandra Adamowicza, Jana Majkowskiego, Tomasza Ilnickiego oraz Adolfa i Karola Pieńkowskich. Wówczas już okazane upodobania literackie i pierwsze próby poetyckie ujawniły w nim zdolności piśmienniczce. W 1858 i 59 r. zadebiutował artykułami, umieszczanemi w gazetach warszawskich. Narazie wszakże zaabsorbowany naprawdę studjami uniwersyteckiemi, zaniechał twórczości, do jakiej zachęcali go przyjaciele. Dopiero w 1860 roku udatną przeróbką sceniczną „Dziwadeł" J. I. Kraszewskiego na trzyaktową komedję p. t. „Odrodzony" (wydaną jako I tomik „Bibljoteczki teatralnej"), zwrócił na siebie baczniejszą uwagę.

Wszakże po dwóch latach studjów surowy klimat północny okazał się tak szkodliwym dla jego zdrowia, że musiał uniwersytet opuścić i wiosną 1861 r. powrócić do Warszawy na stałe. Zamieszkał u swego starszego brata Adolfa, wtedy już nauczyciela przyrody w gimnazjum realnem na Lesznie, młodzieńca niezwykłych zalet charakteru, gorącego patrjoty i wybitnego spiskowca. Pod jego wpływem zaczął tworzyć dalej i wykończać dawniej rozpoczęte prace. Trzyaktowym dramatem „Idealni" wydanym w 1861 r., czteroaktowym „szkicem dramatycznym" „Scena za sceną", który ukazał się jako tomik II wspomnianej już „Bibljoteczki teatralnej", oraz tomem „Poezyj dramatycznych", wydanym w 1862 r., na który złożył się dwuaktowy poemat dramatyczny „Wybranka" i trzyaktowy dramat wierszem „O zmroku", zdobył sobie głośne imię i obywatelstwo w świecie literackim stolicy.

Jednak pragnienie wiedzy okazało się tak silne, że wiosną 1862 r. udaje się na dalsze studja do Niemiec. Po krótkim pobycie w Jenie, gdzie studjował język i literaturę niemiecką, wstąpił z nowym rokiem akademickim na wydział filozoficzny uniwersytetu w Heidelbergu. Ledwie rozpoczął studja, wybuchło w kraju powstanie. Wraca więc w lutym 1863 r. do kraju, by zgłosić się do dyspozycji władz powstańczych.

W marcu mianowany został przez kierującego t. zw. wydziałem spraw wewnętrznych Rządu Narodowego, Rafała Krajewskiego, (którego znał dawno, jako przyjaciela brata swego Adolfa), sekretarzem naczelnika cywilnego województwa krakowskiego, Władysława Gołemberskiego, byłego nauczyciela matematyki w gimnazjum realnem warszawskiem. Udał się więc nie-

*) Szkic niniejszy oparłem na aktach Komisji Śledczej przy namiestniku Królestwa Polskiego w Archiwum Akt Dawnych w Warszawie, oraz na materjałach, znajdujących się w Muzeum Rapperswilskiem, głównie w t. zw. tekach Orzechowskiego. Przyp. aut.

zwłocznie do majątku Gołemberskiego Skórzewo w powiecie stopnickim. Przedstawiwszy się mu, zamieszkał w Pinczowie u brata Adolfa, który w tamtejszem gimnazjum był od niedawna nauczycielem przyrody, a jednocześnie w organizacji powstańczej wojewódzkiej zastępcą Gołemberskiego. Pisywał więc rozporządzenia wojewódzkie, rozwoził je, doglądał wykonania, sporządzał raporty i t. p.

Kiedy po dwóch miesiącach Rząd Narodowy wezwał Gołemberskiego do Warszawy, a miejsce jego zajął Mieczysław Chwalibóg, właściciel wsi Wąchodłowa w powiecie miechowskim, pełni nadal i przy nim swe obowiązki sekretarskie, a po powołaniu na stanowisko naczelnika policji powstańczej w Warszawie brata Adolfa, przeniósł się z Pińczowa do Wąchodłowa, gdzie przebywał do sierpnia.

Wysłany przez Chwaliboga w sierpniu z jakiemiś papierami do Krakowa, otrzymał od „plenipotenta województwa krakowskiego“ Jaraczewskiego polecenie dokonania zakupów broni we Wrocławiu, poczem wrócił do Pińczowa. Mieszkał tu u siostry Michaliny parę miesięcy, czynny wciąż w organizacji narodowej. Wreszcie w marcu 1864 r., zaalarmowany wiadomością o aresztowaniu w Warszawie brata, wtedy wciąż jeszcze naczelnika policji narodowej stolicy, pośpiesza do Krakowa, aby zasięgnąć jakichś pewnych o nim wiadomości. Tu wszakże zastaje już od brata list, z którego dowiadaje się, iż zdołał on szczęśliwie uwolnić się po paru dniach z aresztu i zbiec do Drezna. Podążył więc za nim, lecz w Dreznie przebywał bardzo krótko, gdyż zaraz został wysłany przez Wacława Przybylskiego, podówczas komisarza Rządu Narodowego po za granicami Polski, do Józefa Ordęgi do Paryża z ważnemi papierami.

Powstanie wtedy już szybko chyliło się do upadku, aż wreszcie zostało złamane. Wracać do kraju, jako szczególnie wraz z bratem skompromitowany, nie mógł. Spróbował więc zrazu kontynuować studja w Heidelbergu, lecz brak środków zamierzenia te jego obrócił wniwecz. Po przesłuchaniu zaledwie jednego semestru musiał obejrzeć się za jakiemś zajęciem. W 1865 r. właśnie Agaton Giller zaproponował mu współpracownictwo w wydawanem przez siebie w Zurichu czasopiśmie „O j c z y z n a“. Propozycję tę przyjął i zamieszkał w Zurichu razem z emigrantami Józefem Radomińskim i Józefem Wagnerem, również współpracownikami „O j c z y z n y“.

Jednocześnie nawiązuje kontakt z paroma czasopismami krajowemi. Zostaje więc stałym współpracownikiem „T y g o d n i k a I l u s t r o w a n e g o“, w którym do 1865 roku umieścił kilkadziesiąt świetnych korespondencyj, oraz warszawskich „K ł o s ó w“, lwowskiego „D z i e n n i k a l i t e r a c k i e g o“ i poznańskiego „T y g o d n i k a W i e l k o p o l s k i e g o“. W tymże 1865 r. wydał pod pseudonimem Bolesława Sęka nakładem Kasprowicza w Lipsku powieść współczesną, a jak sam ją nazwał „urywek z pamiętników wychodźcy“ p. t. „O ś l a g ó r a“.

Przeniósłszy się w kwietniu 1866 r. do Paryża, zamieszkał u brata Adolfa, który był tam nauczycielem przyrody w szkole polskiej na Montparnasse, i odtąd stał się już zawodowym literatem. Prócz licznych, bardzo żywych i interesujących korespondencyj, drukuje we wspomnianych już czasopismach wiele poezyj oryginalnych oraz przekładów z Wiktora Hugo, Alfreda Musseta, Henryka Heinego, Moljera, Calderona, Augusta Moreta i in. Ażeby móc przełożyć parę rzeczy scenicznych dwóch tych ostatnich pisarzy hiszpańskich, specjalnie nauczył się języka hiszpańskiego. Zwłaszcza dwa przekłady Moreta zasługują na większą uwagę, a mianowicie „Król, sędzia i rycerz“, drukowany w „Tygodniku Wielkopolskim“, oraz „Klin klinem“ drukowany w „Kłosach“.

Po śmierci w 1867 roku brata Adolfa, za namową przybyłego z Konstantynopola na wystawę paryską Wacława Przybylskiego, udał się do Turcji. Tam w Konstantynopolu otrzymał stanowisko referenta do spraw słowiańskich w biurze prasowem tureckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Na czele tego biura stał dr. Tadeusz Oksza-Orzechowski, były poseł Rządu Narodowego w Konstantynopolu, który wysoko cenił jego talent.

Na podstawie materjałów biura prasowego napisał w 1868 r. większą pracę: „C z a r n o g ó r z e p o d w z g l ę d e m g e o g r a f i c z n y m, s t a t y s t y c z n y m i h i s t o r y c z n y m“, wydaną nakładem Orzechowskiego (a nie autora, jak wydrukowano na okładce) w 1869 roku we Lwowie.

Kiedy w maju 1869 roku zginął z rąk spiskowców książę serbski Michał Obrenowicz, Orzechowski wysłał Pieńkowskiego jako swego korespendenta do Belgradu, gdzie przebył bez mała pół roku. W tekach Orzechowskiego, przechowanych w muzeum Rapperswilskiem, zachowały się jego raporty z tego czasu oraz kilka listów do Orzechowskiego. W raportach tych, nadsyłanych czasem co kilka dni, dawał przejrzysty obraz wypadków i sytuacji, wytworzonej wskutek zamachu.

Również wtedy przystąpił na żądanie Orzechowskiego do opracowywania podobnego, jak o Czarnogórzu, studjum o Serbji, czy jednak rzecz tę wykończył — niewiadomo, w każdym razie nie ukazała się ona w druku. Ponadto pisze korespendencje do paryskiej „*L'Epoque*“, oraz nauczywszy się języka serbskiego, tłumaczy poemat Mażurowicza „Ś m i e r ć Z m a i ł a A g i C z e n g i c z a“.

W końcu 1869 roku, poróżniwszy się z Orzechowskim, przyjął posadę tłumacza prasy słowiańskiej, a głównie serbskiej w konsulacie angielskim w Belgradzie. Jednocześnie intensywniej pisze. W 1869 roku — prócz wspomnianej już pracy o Czarnogórzu— ukazuje się w Warszawie w „Bibljotece kieszonkowej romansów i powieści,“ „K a r t k a z p a m i ę t n i k a s u c h o t n i k a“, „Z k s i ę g i p o d r ó ż n e j“ i „C y r o g r a f“; powstał wówczas także prócz mniejszych poezyj poemat „N a w r ó c e n i“; z którego ustępy drukował w „D z i e n n i k u L i t e r a c k i m“ (Nr. 19 z 1870 r.).

W roku 1870 widzimy go ponownie w stosunkach z Orzechowskim, zamieszkującym wtedy we własnej posiadłości pod Wiedniem. Przybywa więc do Wiednia i stąd udaje się w charakterze korespendenta do Pragi Czeskiej. Po dwóch miesiącach wszakże stosunki ich znowu się zaostrzyły do tego stopnia, że został on jakoby na żądanie Orzechowskiego aresztowany w Krakowie i odstawiony do Wiednia. Zajście to raz na zawsze stosunki między nimi przerwało, mimo że Pieńkowski próbował je jeszcze nawiązać.

Z Wiednia wrócił do Konstantynopola, gdzie szukając jakiegokolwiek zajęcia, przystąpił do kompanji budowy dróg żelaznych Van der Esta w Adrjanopolu i przez pewien czas tam pracował aż do bankructwa kompanji w 1871 roku. Zbliżył się wtedy do zakonu Ojców Zmartwychwstańców, którzy wśród Bułgarów prowadzili pracę misyjną i oświatową, i został w ich szkole w Gabrowej nauczycielem języka francuskiego, historji i geografji powszechnej.

Wówczas znów chwycił za pióro i wrócił do pracy literackiej, ale tym razem w duchu raczej pro-

pagandowym. Napisał więc po bułgarsku popularne „Dzieje narodu polskiego“ i nosił się z zamiarem skreślenia zarysu dziejów piśmiennictwa polskiego, oraz przełożenia niektórych ustępów z prelekcyj Mickiewicza. Ponadto projektował podać w streszczeniu ścisłem, lecz jasnem i oczyszczonem z dziwactw autora badania Duchińskiego*) rzecz do dzisiaj niezmiernej wagi dla Turcji i Bułgarji. Co się tyczy zarysu literatury polskiej, to tak określał jego charakter: „Pominąwszy już stosowanie pracy do pojęć Bułgarów, wypadałoby na początku wykazać dwa kierunki oświaty łacińskiej i bizantyjskiej, w czasach zaś ostatnich (XVIII, XIX w.) przyjąć inny podział i znacznie rozszerzyć wpływ wypadków politycznych na piśmiennictwo i odwrotnie“.

Z projektami temi zwierzył się mimo nieporozumień Orzechowskiemu, w którego papierach znajduje się fragment rękopisu wspomnianych „Dziejów Narodu Polskiego.“ Orzechowski wszakże, zdaje się, nie reagował na wynurzenia Pieńkowskiego, bowiem w korespondencji jego niema już więcej żadnych śladów w tej mierze. Nie wiemy więc, czy który z projektów powyższych został zrealizowany, choć przypuszczać należy, iż raczej nie, zwłaszcza że wtedy spotkały Pieńkowskiego nowe niepowodzenia.

Zmartwychwstańcy, którzy dotychczas obdarzali go dużem zaufaniem i którzy korzystali nieraz z jego talentu i usług, (znany nam jest naprzykład zachowany w tekach Orzechowskiego memorjał Evali Paszy w sprawie oświaty katolickiej w Turcji, skreślony przez Pieńowskiego), dość niespodziewanie wymówili mu miejsce pod pretekstem zbyt zażyłych stosunków, jakie go łączyły z dowódcą kozaków otomańskich gen. Sadykiem Paszą—Czajkowskim i jego oficerami. Pojechał więc do Ruszczuku, gdzie otrzymał posadę tłumacza w dzienniku urzędowym „*Dunaw*“. Zaprzyjaźniwszy się w Ruszczuku z przebywającym tam dowódcą powstańczym Karolem Kalitą, słynnym pod pseudonimem Rębajły, który zaopiekował się nim, przybył jesienią 1871 roku razem z Kalitą do Lwowa.

Tutaj zrazu powodziło mu się nieźle. Został stałym współpracownikiem „Dziennika Polskiego“, w którym pisywał recenzje teatralne i literackie oraz sprawozdania z prasy francuskiej i wschodniej Napisał również i wydał w 1872 r. obrazek dramatyczny „Rozmowa szwaczki z gwiazdą“, który jest podobno ostatnim jego wydanym oryginalnym utworem. W końcu 1872 roku jednak zachorował, a kiedy wrócił ze szpitala, zastał swe stanowisko zajęte przez kogo innego. Po ostrej scysji z redaktorem Rogoszem, który nie cieszył się zbyt dobrą opinją, pomawiano go bowiem o defraudację znacznych sum narodowych w czasie powstania, co nawet Jan Dobrzański podniósł publicznie na łamach „Gazety Narodowej“, dostał tak silnego rozstroju nerwowego, że musiał znów wrócić do szpitala, tym razem dla umysłowo chorych.

W szpitalu mimo choroby przetłumaczył kilka tomów poezyj i prozy z niemieckiego, francuskiego i ukraińskiego. Część rękopisów nabył wydawca Gubrynowicz, część zaginęła, czy wszakże ukazało się co u Gubrynowicza z tych rzeczy, nie udało się stwierdzić. Wtedy również wydał w jednym tomie dawniejsze swoje powieści: „Garbusek“, „Pamiętniki młodej kobiety“ i „Następstwa“, które cieszyły się dużą wziętością i w dwa lata potem, w 1875 r. ukazały się w drugiem wydaniu.

Po zatargu z zarządem szpitalnym, na którego nadużycia wniósł zażalenie do marszałka Galicji ks. Sapiehy, został ze szpitala wydalony, a opinja umysłowo chorego, jaka się o nim ustaliła, sprawiła, że nie mógł dostać żadnego już stanowiska. Wreszcie władze policyjne, jako obcego poddanego, nie mającego środków do życia, odstawiły go w październiku 1874 roku do granicy pruskiej.

Przybył zrazu do Poznania, gdzie jednak również nie znalazł pracy. Udał się więc piechotą do Drezna i Lipska, aby sprzedać tam Brockhausowi coś ze swoich prac literackich dawniejszych. Lecz w Lipsku 7 listopada znów ciężko zaniemógł, a po paru dniach policja wysiedliła go z miasta. Piechotą przyszedł do Torunia, gdzie jeszcze krótki czas przebył, szukając napróżno pracy.

Wtedy w ostatecznej determinacji postanowił wrócić do Królestwa. Liczył na pomoc brata Jana, który w Siedlcach był urzędnikiem pocztowym, jak również na poparcie dobrych przyjaciół, z których kilku w sferach dziennikarskich stolicy zajmowało wybitne stanowiska: jak Ludwik Jenike, Józef Kenig, Władysław Bogusławski i Zygmunt Sarnecki.

22 maja 1875 roku zgłosił się w Aleksandrowie do pogranicznych władz rosyjskich. Odstawiony do Nieszawy, a stąd po przeprowadzeniu pierwiastkowego dochodzenia zaraz etapem do Warszawy, uwięziony został w X pawilonie Cytadeli, aby 28 maja stanąć przed czasową wojenno-śledczą komisją. W trzy dni potem 31 maja złożyli o nim „zeznania tożsamości“ jako, że „jest osobą Karola Pieńkowskiego literata z Warszawy“ redaktor „Tygodnika Ilustrowanego“ Ludwik Jenike, Władysław Bogusławski i redaktor „Gazety Warszawskiej“ Józef Kenig, na których znajomość powołał się w zeznaniach.

Podciągnięty w zasadzie pod ogólną amnestję, został 2 czerwca uwolniony z więzienia i oddany pod ostry nadzór policji w samej Warszawie. Dopiero po sprawdzeniu prawdziwości jego zeznań za pośrednictwem konsulatów niemieckiego, austrjackiego i francuskiego, komisja śledcza złożyła w lutym 1876 roku raport generał-gubernatorowi Kocebuemu z utrzymaniem nad nim nadzoru policji, oraz z zabronieniem przyjmowania go na służbę rządową i wogóle publiczną.

Zastrzeżenia te były już jednak zbyteczne. Doświadczenia losu, a zwłaszcza przejścia ostatnie oraz choroba, złamały go już zupełnie. Niezdolny był już do jakiejkolwiek pracy, niezdolny do pióra. Ostatkiem sił dobiegał kresu swej wędrówki doczesnej.

Wreszcie zmożony ostatecznie chorobą znalazł się w ewangelickim szpitalu warszawskim, w którym 29 marca 1877 roku zasnął snem wiecznym. Pochowany został na cmentarzu powązkowskim we wspólnym dole ubogich.

„Ś. p. Pieńkowski był człowiekiem nieszczęśliwym w najgłębszem znaczeniu tego wyrazu“ — czytamy w cytowanem wyżej wspomnieniu pośmiertnem Sarneckiego. — „Śmierć, która przyszła uwolnić go wreszcie z ciężaru życia, pozwoliła mu spocząć we wspólnej bezimiennej mogile. Tak burza jesienna zrywa zeschłe liście i rzuca je razem na ziemię, bez względu na drzewa, z których wyrosły“.

STEFAN POMARAŃSKI

*) Franciszek Duchiński, historyk, słynny propagator teorji o turańskiem pochodzeniu Wielkorosjan.

LIBERUM VETO

Polska jako policjantka sowietów.

PRZESZŁEGO roku młody rosjanin zabił posła bolszewickiego. Zdawałoby się, że był to wypadek zamknięty ściśle w granicach stosunku przeciwników z jednego narodu i nie miał żadnego związku z gruntem i otoczeniem, w którem się zdarzył. Zabójca był rzetelnym rosjaninem, nie wykryli jego łączności ani z rządem, ani ze społeczeństwem polskiem, działał na własny rachunek. Gdyby podobny wypadek zaszedł w Niemczech, Anglji, Francji, Włoszech, zresztą w jakimkolwiek innym kraju, cała sprawa przeminęłaby szybko, skończyłoby się śledztwem i wyrokiem sądowym, i nikomu nie przyszłoby na myśl obarczać rząd jakąkolwiek odpowiedzialnością. P. Cziczerin dostałby ostrą odprawę od Chamberlaina, Brianda lub Mussoliniego, gdyby się ośmielił przesłać im naganę za pobłażliwość dla „białoemigrantów“ rosyjskich. Tymczasem przypomnijmy sobie, jakie to uprzejme były odpowiedzi naszego rządu na kanonadę not sowieckich po zabójstwie Wojkowa, jak p. Patek pląsał około rozgniewanego komisarza do spraw zagranicznych, ażeby go uspokoić. Uprzytomnijmy sobie szczegółowo tę upokorzającą sytuację. Polska nie ma w Rosji ani jednego agenta, któryby przeciwko niej spiskował i działał. Natomiast Rosja utrzymuje w Polsce tysiące agentów podpalających nasze państwo ogniami rewolucyjnemi. Polska nie wydaje ani jednego grosza na propagandę antysowiecką; Rosja wydaje miljony rubli na propagandę antypolską. W Rosji polak nie wykrada tajemnic, nie szpieguje i nie zdradza; w Polsce czynią to całe gromady komunistów opłacanych przez sowiety. Polska w rzadkich wypadkach karze więzieniem najzuchwalszych i najszkodliwszych agitatorów bolszewickich, którym udowodniono zbrodnie; Rosja więzi i morduje gromady polaków tylko podejrzanych, którym nie udowodniono żadnej winy. Głównym zarzutem not sowieckich przeciwko rządowi polskiemu jest twierdzenie, że on pozwala na pobyt „białym emigrantom“ i nie zabezpiecza od nich przedstawicieli Bolszewji: jest to zarzut pobijający nie tylko dokonane, ale wszelkie możliwe rekordy bezczelności. Wymaga on bowiem, ażeby wypędzono z Polski wszystkich rosjan, nieubarwionych politycznie na czerwono, gdyż pomiędzy nimi może się znaleźć sprawca zamachu na urzędowego sowietowca, ażeby wnikano policyjnie w ich stowarzyszenia, ażeby skrępowano cenzurą ich prasę, słowem ażeby Polska stanowiła „ochranę” Rosji bolszewickiej. Trudno byłoby—mówiąc językiem rosyjskim — pozwolić sobie na większe „nachalstwo“. Trzeba przetrzeć oczy, ażeby być przekonanym, że one się nie mylą, czytając w ostatniej nocie, karcącej Polskę, o gwałceniu przez nią „wszelkich zwyczajów międzynarodowych“, o tolerancji dla „zbrodniczych elementów“, o bezczynności władz polskich wobec zbrodniczej bandy i t. d. Gdyby te górne, moralnością i prawem napęczniałe wyrazy przeczytano mieszkańcowi jakiejś odosobnionej wyspy, który nigdy nic nie słyszał o popisach energji sowietów, byłby przekonany, że to jest skarga najidealniejszego rządu, ktorego białej szaty nie plami ani jedna kropla niewinnie wylanej krwi, który wzdryga się na samą myśl bezprawia i mordu, który sam pragnie żyć w uczciwości i wymaga jej od swoich sąsiadów. Ten wyspiarz nie uwierzyłby, że ów apostoł etyki międzynarodowej, surowy prokurator, który sadza Polskę na ławie oskarżonych przed sądem całego świata cywilizowanego, wymordował tysiące jej niewinnych dzieci, że niema tak dzikiego okrucieństwa, tak sromotnego bezprawia, tak nikczemnego gwałtu, którychby nie użył względem polaków obarczonych najlżejszemi pozorami winy. Z grobów pokrywających ziemię rosyjską bije wielomiljonowy chór głosów przeklinających zbrodnie obecnych jej władców, a między temi głosami brzmi strasznie polski — krzyk naszych męczenników. I ci ich kaci, oprawcy i mordercy śmią nam wyrzucać, że hodujemy „bandytów“, że mamy obowiązek być czujną strażą bezpieczeństwa dla tych, którzy właśnie bandytyzm podnieśli do godności rządu.

Gdyby nawet ci bezczelni obrońcy etyki międzynarodowej nie byli największymi jej gwałcicielami, pozbawionymi prawa przemawiania w jej imieniu, polemika przedmiotowa z notami sowieckiemi byłaby bardzo łatwa. Przyznają one, że „olbrzymie rzesze białych emigrantów zgrupowane są w wielu innych państwach Europy, ale nigdzie ich działalność terrorystyczna nie przybrała takich rozmiarów, jak ubiegłego roku w Polsce“. Jest to blagiersko-kłamliwa frazeologja wszystkich deklamatorów, którzy widzą zdźbło w oku bliźniego, a nie widzą belki we własnem. Gdy czerezwyczajki wymordują w ciągu roku kilka tysięcy cudzoziemców, to jest drobina mikroskopowa; ale gdy w Warszawie jeden rosjanin zabił posła sowieckiego, a obecnie drugi chciał zabić jakiegoś radcę, to są wielkie „rozmiary“. Jest to chyba naturalnem, że ponieważ Polska ma szczęście być bezpośrednią sąsiadką szlachtuza politycznego, zwanego rajem bolszewickim, muszą w niej liczniej ukrywać się jego przeciwnicy, chcący działać zbliska. Nie jest to więc wynik pobłażliwości naszych władz, ale wygody naszych niepożądanych gości. Na krańcach Europy oni się nie osiedlą, bo z wielkiej odległości nie mogliby sięgać czynami do swoich celów. To też raczej dziwić się można, że zamachy kontrrewolucji rosyjskiej zdarzają się w Polsce tak rzadko. Żądanie zaś, ażeby władze polskie tropiły je i udaremniały, żądanie ze strony państwa, które nie tylko nie okazuje wzajemnych usług naszemu, ale je podminowywa, zawichrza, burzy, utrzymuje w stanie ciągłego niebezpieczeństwa — jest bezprzykładnem zuchwalstwem i cynizmem. Polska ma w swem łonie przeszło sto tysięcy komunistów pobudzanych, organizowanych i opłacanych przez sowiety. Ażeby tę hordę utrzymać w karbach, nie wystarczają jej środki i wysiłki organów policyjnych. Teraz zwierzchnicy rzeźni ludzkiej wymagają od niej, ażeby powiększyła te środki i wysiłki dla ich potrzeby. Pomińmy moralną stronę tego wymagania, zastanówmy się tylko nad praktyczną. Zapewne autorowie groźnych not sowieckich przyznają, że car Aleksander II, książę Sergjusz, minister Plewe byli dobrze strzeżeni, że „ochrana“ rosyjska była silna, sprawna i czujna, mimo to nie mogła ich zabezpieczyć od śmierci. Po tych doświadczeniach rzec można, że niema takiej policji, któraby zdołała otoczyć nieprzebytym murem jednostki wystawione na zamachy spiskowców, zdecydowanych na ofiarę ze swego życia.

Dość przeczytać niedawno wydane „*Wospominanja*“ rewolucjonisty rosyjskiego Sawinkowa, ażeby zrozumieć, ile oni wkładają w swe przedsięwzięcia odwagi, energji, cierpliwości, pogardy śmierci, podstępów i ażeby dojść do przekonania, że tego rodzaju siły nic nie zwalczy i tego rodzaju przebiegłości nic nie uchwyci. To nie polowanie na ludzi, to nie sport amatorów, to działanie strasznej siły, która sto razy powstrzymana lub złamana, sto razy odnowi swoje

działanie. Słusznie też rzec można, że jedynym środkiem skutecznym przeciwko sprzysiężeniom i zamachom politycznym jest niepopełnianie czynów, które je wywołują. A już chyba w żadnym czasie i miejscu nie nagromadzono tych czynów w tak potwornej ilości i jakości, jak w rozjuszonej Bolszewji.

Zdawało się po dosadnej i z wszelkich form stylisty wyzwolonej naganie dla Waldemarasa, że polska dyplomacja wejdzie w okres twardego stylu. Tymczasem nasz minister spraw zagranicznych w niektórych swoich występach zachowuje ton nader miękki. Jeżeli to było rażącem i niepotrzebnem w odniesieniu do potężnych i prawowitych mocarstw europejskich, to jest wprost ubliżającem i wysoce szkodliwem w stosunku do Rosji sowieckiej, która utraciła wszystkie prawa do wyniosłości moralnej. W wystąpieniach swych Polska powinna okazać godność, dumę i odwagę, a nie jakgdyby usprawiedliwiać się z przewinień, których nie popełniła. Dla zrzucenia z siebie odpowiedzialności wystarcza fakt, że ona nie robi żadnych podkopów i nie zakłada min pod państwo sąsiednie, nie czyni właśnie tego, czego owo państwo dopuszcza się względem niej. Zamachy antysowieckie dokonywają się bez nas, pomimo nas i wbrew nam a my nie mamy żadnego obowiązku urządzać nad niemi specjalnego dozoru, zwłaszcza, że onby im nie zapobiegł. Nienawiść kontrrewolucji rosyjskiej, podniecana okrucieństwami bolszewickiemi, omyli najostrzejszą czujność policji i zawsze znajdzie sposób wyładowania się w zamachach. Tak było i będzie wszędzie i zawsze, a dąsy i groźby not sowieckich należy przyjmować z lekceważeniem, na jakie zawsze zasługuje moralizująca niecnota.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

UNIKAT POLITYCZNY

Wątpić można, czy śród 20 kilku miljonów polaków znalazłoby się 20 osób, dla których p. Wład. Studnicki jest poważnym pisarzem politycznym i które uznawałyby, że komukolwiek i czemukolwiek jest potrzebna jego obszerna autobiografja. Tę potrzebę jednak on sam uznał i wydał własnym nakładem pierwszy 377 stronicowy tom historji swoich „Przeżyć i walk", a zapowiada drugi. O ile ten pierwszy czytać można jako wylew nieświadomego humoru lub materjał psychjatryczny obłędnej megalomanji, o tyle drugi, w którym autor zamierza opowiedzieć, jak „się przyczynił do powstania państwa polskiego" i „wpływał" na wydanie przez Beselera słynnego aktu o niepodległości polskiej — trudno czytać będzie bez wstrętu. Przypuszcza to zresztą sam p. S. zaznaczając, że „szedł przeciw prądowi" i jako bezmyślny a uparty germanofil „prowadził walkę z własnem społeczeństwem". Gdyby ślepy kret zechciał być astronomem, bezlotek orłem, żółw wyścigowcem a pasterz owiec chwalcą wilków, nie byłoby w tem nic dziwniejszego, niż p. Studnicki jako polityk polski. Zwyczajem grafomanów pisze rozlewnie o swoich triumfach publicystycznych, zwyczajem maniaków widzi siebie na szczycie mądrości politycznej. Oprócz „przyjaciół", którzy mu dopomagali lub wyrażali uznanie, depce prawie wszystkie wystające nad tłum głowy. O Dmowskim przytacza pogardliwą opinję Wittego, i nazywa go „wielkością urobioną przez reklamę", Rabskiego — „wyrazicielem banalnej opinji", Prusa — „politycznie naiwnym", Niemojewskiego redaktorem pisma „dla czwartoklasistów mających zatargi z ciotkami o spowiedź wielkanocną", T. Korzona—chorym na „*dementia senilis*". St. Grabskiego — „psychopatą niezupełnie przytomnym", Z. Wasilewskiego — „apolitycznym", o Piłsudskim wyraża stę pobłażliwie, ale uznaje: „W okresie Rady Stanu byłem z nim w antagonizmie, a gdy sprawą przysięgi uszczuplił nasze legjony, żałowałem, że go nie zastrzeliłem przedtem". Urągając St. Grabskiemu, że „może służyć za przykład, do jakich metamorfoz u nas ludzie są zdolni", sam wciskał się prawie do wszystkich stronnictw, z których szybko wylatywał lub bywał wyrzucany. Socjalista, narodowy demokrata, ludowiec, konserwatysta w najrozmaitsze gniazda składał swoje kukułcze jajko, które w żadnem się nie wylęgło. Jak wcześnie objawił się w nim genjusz polityczny, przekonywają następujące słowa: „W młodości zapatrywałem się na poznawanych ludzi optymistycznie: jeżeli spotkałem u tego lub owego z działaczy społecznych lub profesorów znaczne braki umysłu, wiedzy, sądziłem, że wkrótce to się zmieni na lepsze. Po r. 1863 nastąpił okres depresji, teraz rozpoczyna się okres ekspansji, odrodzenia". Gdy Daszyński zapytał go: „Z kim jesteś w zgodzie", odpowiedział: „Z samym sobą". To znaczy: w całej Polsce nie było ani jednego człowieka, któryby chciał stanąć obok p. Studnickiego. I tenże p. S. utrzymuje dziś jeszcze, że „działał zgodnie z wolą narodu", którym nie jest „tłum inteligentny lub ciemny", ale przez niego widziany i rozumiany, mistyczny „żywy organizm".

Jeżeli godnym podziwu mógłby być automatycznie nabijający swą gilzę i ciągle wybuchający szrapnel, który wyrzuca z siebie kulki i rani wszystkich w obrębie swego pękania, to również godnym podziwu jest podobny do niego swą bezmyślnością i gwałtownością p. Studnicki. Zrobiwszy sobie dwa świderki — wyodrębnienie Galicji i bezwzględne odłączenie od Rosji ziem polskich —niezmordowanie jeździ z niemi wszędzie, gdzie je może wkręcić, omijając tylko zabór pruski, dla którego przygotował sobie trzeci, większy świder podczas wojny — germanofilski. W tych przerzutach czepia się natrętnie wszystkich ludzi wpływowych, miewa odczyty a nadewszystko z płodnością grafomana, stylem pośpiesznym i niechlujnym pisze, pisze, pisze artykuły do wszystkich gazet, które mu na chwilę drzwi otworzą i zwykle szybko zamkną. Zalewając prasę mętną wodą swych ćwiczeń publicystycznych jest przekonany, że w tym potopie utoną wszystkie myśli i uczucia polityczne, które z nim się nie godzą. Tymczasem cały ten potop wsiąkł w grunt opinji społecznej bez śladu, pozostawiwszy po sobie tylko takie wspomnienie, jakie napiętnowało Radziejowskich i Radziwiłłów, pilotów najazdu szwedzkiego. Bez przypuszczenia jakiejś ułomności psychicznej trudno pojąć, ażeby dziś mógł się znaleźć polak, któryby szczerze, niczem niezainteresowany, mógł przemawiać za związkiem politycznym z Niemcami i spodziewać się od nich dobrodziejstw. To też notatka nasza o książce p. Studnickiego nie jest jej rozbiorem i oceną, ale tylko ostrzeżeniem dla czytelnika, który o jej autorze zapomniał lub nic nie wie.

A. Ś.

NAZWISKO DO ZAPAMIĘTANIA

ZBYT późno niestety wpadła mi w ręce pewna notatka dziennikarska, która jednak i teraz jeszcze zasługuje na podanie do publicznej wiadomości — gdyż jest to pewnego rodzaju *curiosum* moralne i polityczne.

Oto w dzienniku węgierskim „*A nép*“ (12/XII.1923) czytać można było następujący artykulik:

„Portret agitatora Panslawistycznego: Ferdynand Machay na imię temu nieszczęśliwemu; urodził się on w prowincji Orawie i bardzo, bardzo dużo dobrodziejstw do zawdzięczenia ma państwu węgierskiemu, za co odwdzięczył się obrzydliwą niewdzięcznością... W tajemnicy, w sposób najbardziej perfidny i z największą nienawiścią agitował przeciw Węgrom. Gdy północne Węgry przemocą oderwano od macierzy, zaraz zrzucił swą maskę, którą dotąd nosił, by móc wyszydzać porządnych madziarów i otwarcie wystąpić jako wróg wobec swoich dobrodziei... Łgarstwami i przewrotnością przeciw Węgrom podjudzał poczciwych i spokojnych górali orawskich, a nawet licznych wybitnych polaków, którzy sprawy nie znali dostatecznie. Ogłosił się patrjotą polskim, ale prawdziwą jego skórą jest panslawizm, szczególnie od chwili, gdy przed wojną wikarym był w Turczańskiem św. Marcinie, gdzie i tamtejsze koła wiedzą, jakiemi środkami zyskał ich dla siebie... ...Wszystko to opisał w swojej książce „Moja droga do Polski“. Człowiek bez uprzedzenia, lubiący prawdę i z charakterem, jeżeli czyta tą książkę, musi czuć obrzydzenie i musi odrzucać ją daleko od siebie; tyle w niej udawania, perfidji, haniebnych kłamstw i tchórzostwa. Na każdej stronie sprzeczne zdania, fałszerstwa i haniebne łgarstwa o Węgrach i o czcigodnych Polakach... Pragnąłby być bohaterem narodowym, obrońcą ludu i jego wodzem, chciałby naśladować polskich bohaterów narodowych, lecz jakaż płaczliwa jest rola, którą gra w rzeczywistości. Z materji Ferdynandów Machayów nie rzeźbią bohaterów, najwyżej powstać mogą z niej faryzeusze, fałszywi prorocy i apostaci“. (Podkreślenie moje).

Nie wartoby na notatkę tę zwracać uwagi, gdyby ją pisał był rozgoryczony Madziar; ale podpisany jest pod nią p. Tadeusz Stamirowski, b. przedstawiciel N. K. N. w Budapeszcie...

Dla czytelników nieznających priorów tej sprawy: X. F. Machay, urodzony w Jabłonce na Orawie, jeden z wybitnych działaczy spisko-orawskich, delegat polaków Spisza i Orawy na kongres paryski, (wespół z góralami Wojciechem Halcynem z Sendaku i Piotrem Borowym z Rabczyc oraz prof. Ruppertem), jest autorem książki „Moja droga do Polski“ (1923, u Gebethnera), o której pojawiły się sprawozdania nader życzliwe Dębickiego, Czekalskiego, śp. Chołoniewskiego i innych. Ja pozwolę przytoczyć sobie parę zdań z mego artykułu krytycznego w „Przegl. Wszechpol.“ (1925, lipiec): „Nie była gościńcem bitym i prostym, droga wybrana przez ks. F. Machaya, w książce jego opisana z dokładnością człowieka inteligentnego, rozumiejącego wagę konkretnych zwierzeń, dla rozjaśnienia tego tajemniczego bądź co bądź zjawiska, jakiem jest narodowość“. I tu cytowałem jego słowa: „Namiętnych burz wewnętrznych, prawdziwych walk na noże o swoją tak ciężko zdobytą polskość miałem dużo. Nieraz brałem zwierciadło i przypatrywałem się włosom, czy mi nie osiwiały w ciągu tych kilku minut czy sekund.“ I dalej pisałem: „Książka jest pisana ze szczerością zaiste budującą — autor nie ukrywa żadnego ze swych wahań, ani momentów słabości, a nawet upokorzeń spowodowanych wahaniem się. Daleką mu również myśl przedstawiania swej roli jako wyjątkowej, przeciwnie znać tu staranie, aby i innym pracownikom na tej niwie oddać należne uznanie...“

Tak pisałem, autora tej książki wcale nie znając. Ujęła mnie głęboko ta rzecz, pisana z prawdziwą rzetelnością intelektualną, a przez to dla badacza zagadnień narodowościowych wysoce pożyteczna, i z prostotą uczciwego człowieka. Później, poznawszy autora „Mojej drogi do Polski“ — nieraz myślę o tem, jak zdrowy, jak rzeźki materjał ludzki niosą nam te nasze kresy podgórskie, skoro wydają takich ludzi jak Ferdynand Machay. Liczni przyjaciele, jakich między pisarzami polskimi on zdobył sobie, wiedzą, że jest to człowiek w najlepszem znaczeniu prosty: Ten człowiek, uczuciowo świeży jak dziecko, żyje nawskroś na serjo, duszą o bohaterskim zakroju, pełen przytem humoru i prostoty. Na Orawie jeszcze w r. 1914, przed wojną podziwiałem potężnych wzrostem, krzepkich starców, wesołych, sierdzistych, przepojonych obyczajem staroświeckim, nawskroś rasowych; ks. Machay jest człowiekiem młodym — ale jest w nim ta sama rasa góralska, rdzennie polska, która w tym zacisznym zakątku górskim dochowała swego wyrazu i tężyzny. Machay jest jednym z tych, którym Polska zawdzięcza, że ten nam przynależny etnicznie, językowo, geograficznie, historycznie, rezerwoar tęgiego materjału ludzkiego, nie został stracony — (niestety częściowo tylko).

I oto, taki pan T. Stamirowski, Polak, nie może przeboleć, że „północne Węgry oderwały się od swej macierzy“, że „przeciw Węgrom podburzano poczciwych górali Orawskich“, a Polaka obudzonego, Machaya, nazywa „apostatą“!

Są w tej notatce kłamstwa rzeczowe, które opuściliśmy: Np. powiada, że ks. M. ciężko chorował i na koszt rządowy leczył się w sanatorjum, jadł za darmo chleb węgierski. Kłamstwo: Ten człowiek jadł tylko placek owsiany orawski, z ciężkim trudem w szkołach utrzymywany przez ojca włościanina — i nigdy nie leczył się w żadnem sanatorjum — zdrów jak jodła babiogórska. Ale ciekawe, co p. Stamirowski pisze o nim, jak o agitatorze panslawistycznym. Ks. M. rzeczywiście w książce swojej wyznaje szczerze, że przez jakiś czas, zanim jego proces asymilacyjny z polskością dokończony został — (on sam uważał się, chłopcem będąc, razem z innymi Orawcami za Słowaka)— nastrojony był panslawistycznie; ale tylko czytelnik tej książki niegodziwy, bez kszty sumienia intelektualnego— i zwykłego — może z książki tej wnioskować, że polskość Machaya, przezeń świadomie wywalczona, nie jest rzetelną!

Ten Polak, p. Stamirowski, były reprezentant N. K. N. w Budapeszcie zdaje się nic nie wiedzieć o całej robocie spisko-orawskiej, która przez lata całe szła z Nowego Targu (śp. dr. Bednarski) i z Krakowa (śp. Teisseyre i inni). Nic mu nie wiadomo o tych góralach, którzy garnęli się do polszczyzny, nie wzruszyła go taka przemowa Piotra Borowego w książce Machaya podana, w której ten stary i niepospolity góral, powiada polakom, że choćby Orawców odpędzali jak nieznośnego pieska, oni z psią wiernością przy Polsce wytrwają.

Nie, p. Stamirowski o tem wszystkiem nie wie i nie chce wiedzieć — ubolewa nad tem, że Orawa i Spisz odpadły od Węgier i przypadły Polsce.

Trudno, p. Stamirowski jest oczywiście wynarodowiony, ale byłoby to jego osobistą sprawą, gdyby się z tem krył w czterech ścianach; lecz p. Stamirowski publicznie z tem wyjawia się — i Polaka przywróconego Polsce, odważa się nazwać „apostatą“ i gdyby zacnego człowieka zohydzał tylko między swoimi, byłby tylko kalumnjatorem; ale, że czyni to przed obcymi, i że asumpt bierze do tego właśnie z owej... „apostazji“ — to jest czemś gorzej niż kalumnjatorem: P. Stamirowski mieszka na Węgrzech, tam się ożenił,— i kto wie, może tam się naturalizował, a wtedy Bóg z nim; ale jeżeli jeszcze jest obywatelem polskim— to wystąpienie to jest poprostu zuchwałą renegacją.

Bo jeśli Machay jest apostatą — to Orawa Polsce się nie należy. *)

Podaliśmy nazwisko i sprawę p. Tadeusza Stamirowskiego do publicznej wiadomości, aby opinja narodowa nazwisko to, na wszelki wypadek, zapamiętała.

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

FORMIZM W POLITYCE

„Wszak nie ma czem innem, jak właśnie na tym naszym nieszczęsnym niedorozwoju politycznym, wszystko jedno czy w przeszłości—w postaci braku silnego rządu czy w teraźniejszości w postaci nieliczenia się z opinją publiczną, zbudowana jest teorja rządzenia społeczeństwem wbrew niemu i pomimo niego, teorja, której w duchu hołdują wszystkie obozy polityczne, poczynając od najskrajniejszych, aż do konserwatywnych".—

TAK pisał w maju 1914 roku Avitus w „Przeglądzie Narodowym", lecz równie dobrze mógłby pisać w maju 1928-go. W przeciągu ostatnich lat czternastu nie potrafiliśmy wciąż jeszcze wyrobić w sobie lepszego zrozumienia spraw publicznych, poprzestając na czysto zewnętrznem ich ujmowaniu. Ten „formizm" (że użyjemy analogji z dziedziny prądów w estetyce), stanowiący obecnie najbardziej dotkliwy objaw naszego niedorozwoju politycznego, wyrastający być może ze skłonności do t. zw. „myślenia o niczem", czyli do biernego ulegania prawom kojarzenia wyobrażeń, prowadzi w konsekwencji do ślizgania się po powierzchni zagadnień bez wnikania w ich istotę, a tem samem do utożsamiania z sobą zjawisk różnych, ale pozornie podobnych.

Stosunek znacznej części inteligencji naszej do prac podejmowanych w poprzednim Sejmie i do sytuacji pomajowej jest wybitnie formistyczny. W okresie przedmajowym na plan pierwszy niedomagań politycznych wysuwała się kwestja niezdolności parlamentu do spełniania ciążących na nim obowiązków. Brak trwałej większości parlamentarnej, będący konieczną konsekwencją naszego prawa wyborczego, uniemożliwił stronnictwom pozytywną pracą nad urzeczywistnianiem ich programów. Gdy się do tego doda bezprogramowość większości stronnictw, wykluczającą i bez tego wszelką twórczą działalność, dalej konieczność daleko idących kompromisów, stanowiących podstawę utworzenia jakiej takiej większości, a zarazem wiążących ręce tym stronnictwom, które własny program posiadały, wówczas obraz niezdolności naszego parlamentu do wypełnienia zadań, do których był powołany, wystąpi z całą wyrazistością.

W tych warunkach pojęcie partji politycznej stało się w opinji ogółu synonimem egoizmu i niedołęstwa. Zaczęto dopatrywać się źródeł zła w samem istnieniu partji, to też hasło „bezpartyjności" umiejętnie lansowane przez „sanację", spotykało się z przychylnem przyjęciem.

Zapomniano przytem zupełnie o fakcie, iż polityka w istocie swej polega na dokonywaniu zmian w istniejącym układzie stosunków życia zbiorowego. Jakość tych zmian wynika oczywiście z celów, przyświecających działalności politycznej. Zwolennicy tych samych i taksamo rozumianych celów — łączą się tedy w organizację, aby przy jej pomocy tem skuteczniej dążyć do ich urzeczywistnienia. Jeżeli cel, do którego dąży zorganizowana grupa ludzi, nie ma na względzie dobra ogólnego, a jedynie interesy tych, co kierują działalnością grupy, wówczas mamy do czynienia z t. zw. kliką. Natomiast stronnictwo polityczne jest zorganizowaną grupą ludzi, której stosunek do zagadnień społecznych i politycznych jest programowo określony. — Program polityczny stronnictwa, to ogół celów natury publicznej, do których ono dąży, to ogół zmian, które zamierza przeprowadzić. Program—to dusza stronnictwa stanowiąca o jego istnieniu.

Hasło „bezpartyjności", zawdzięcza powodzenie utożsamieniu dwu odrębnych pojęć: partji i kliki. Bezpartyjność znaczy właściwie tyle co bezprogramowość, a właśnie klika jest bezprogramowa. W dzisiejszym układzie stosunków istnieć muszą w państwie zorganizowane grupy ludzi, dążące do odegrania roli w dziedzinie politycznej. Jeśli nie będą niemi partje polityczne, to będą kliki, albo, albo — niema trzeciej alternatywy.

Równie „formistyczny" jest pogląd znacznej części naszego społeczeństwa na istotę „wydarzeń majowych" oraz na sytuację, jaka się później wytworzyła. Wielu chce, na podstawie zewnętrznych podobieństw, widzieć w przewrocie majowym rewolucję narodową, coś w rodzaju rodzimego faszyzmu; zapominają, że o istocie rewolucji narodowej stanowi nie forma, lecz treść.

Nie co innego, jak właśnie ów „formizm", będący właściwie wyrazem bierności i lenistwa myśli, jest przyczyną, że takiem wzięciem cieszy się „teorja rządzenia społeczeństwem wbrew niemu i pomimo niego, teorja, której w duchu hołdują wszystkie obozy polityczne, od najskrajniejszych, aż do konserwatywnych".

KAZIMIERZ GROSICKI

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Nowy przewrót. — Choroba marsz. Piłsudskiego. — Wybory w Niemczech — Klęska mniejszości polskiej. — Prowokacje litewskie.

W MAJU Roku Pańskiego 1928 znów dokonał się w Polsce przewrót. Tym razem wprawdzie tylko w psychice obozu „sanacyjnego". Tem nie mniej byłoby błędem wielkim nie dostrzegać tego przewrotu albo znaczenie jego lekceważyć: musiał on mieć poważne przyczyny i niewątpliwie pociągnie za sobą daleko sięgające skutki.

Dnia 10 maja w artykule wstępnym w „Głosie Prawdy" p. L. Tomaszkiewicz temi słowy zwrócił się do swych towarzyszy z pod znaku „sanacji":

„ ...zdobądźmy się i na męskie dobycie konsekwencji... Poznawszy jak mało siły jeszcze jest w społeczeństwie do ponoszenia odpowiedzialności za gmach państwowy, pozwólmy by trud jej dźwigania przez Komendanta nareszcie lżejszym się stał."

*) P. St. powiada, że ks. Machay w książce swej zohydza „czcigodnych Polaków"; prawda jest taka: absolutnie nikt tam nie jest zohydzony, ale zato p. Stamirowski jest w słowach wysoce umiarkowanych ganiony za swój wysoce niefortunny krok polityczny, kiedy to, w listopadzie 1918, jako reprezentant N.K.N. oświadczył oficjalnie, że Polska uznaje integralność Węgier, co Czesi odrazu wyzyskali przeciw nam. Rada Narodowa Spisko-Orawska przeciw tej samozwańczej deklaracji zaprotestowała u min. L. Wasilewskiego, a p. St. został odwołany. Przypomnienie, przyznać trzeba, mniej miłe: *inde irae*...

Przy sposobności warto zaznaczyć, że p. Tomcsanyi, który niedawno objeżdżał Polskę z odczytami, mile witany w Polsce jako tłómacz „Chłopów" i jako Węgier, który już tyle nauczył się po polsku, to góral z Piekielnika, nazwiskiem rodowitem Marmuta. Trudno — zmadziaryzował się, żyjąc w państwie węgierskiem—i tego za złe mu brać nie można, ale jakiem prawem on również—jakkolwiek systemem o wiele przyzwoitszym niż b. delegat N.K.N., F. Machaya, rodaka z Orawy, przed Madziarami przedstawia, jak nam wiadomo, jako „renegata"?... To jednak za wiele...

W dwa dni później tenże autor pisał:

„Rozszerzyła się i rozszerza czynna rodzina Piłsudczyków, obejmując w szeroki zasiąg całą masę spraw odpowiedzialnych. Ideowa kadra przetworzyła się w potężny obóz, ponoszący dziś już odpowiedzialność... za odrodzenie naszego jutra".

Tak niedawno jeszcze wystarczała cnota posłuszeństwa; obecnie widzą, iż muszą nagle „ponosić odpowiedzialność" „Dziś już"...

A już dnia 20 maja sam redaktor „Głosu Prawdy", p. W. Stpiczyński, tak pouczał we wstępnym artykule, pisanym stylem orędzia:

„Lecz trzeba by Naród sam i w samym sobie szukał szybko prawdy swojej wielkości i prawdy swojej siły, która leży w organizacji zbiorowego wysiłku i wzmożeniu jego wydajności".

„Naród sam i w samym sobie"... A przytem: „szybko"! Skądże taki nacisk na konieczność pośpiechu?

Rzuca się tedy nieoczekiwanie hasło „organizacji zbiorowego wysiłku". Z jakiego powodu? W jaki sposób? Na pytania powyższe odpowiada szczegółowiej organ innego odłamu „Piłsudczyków", Związku Naprawy Rzeczypospolitej, tygodnik „Przełom" (Nr. z dn. 20 maja r. b.):

„Myliliby się głęboko, myliliby się tragicznie ci, którzyby sądzili, że... potęgę Państwa oprzeć można na krzyptodyktaturze administracji..."

„Przełom" zaleca natomiast „utworzenie zawartego obozu radykalno — demokratycznego". W praktyce, zdaniem „Przełomu", Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem winien podzielić się na dwa „współdziałające w Sejmie, ale odrębne organizacyjnie polityczne odpowiedniki społeczne: demokratyczny i konserwatywny". „O ten drugi" — dodaje autor artykułu p. St. J. Paprocki—„nie naszą jest rzeczą się troszczyć"...

Tak daleko posunięta ewolucja... nastrojów musiała oczywiście objawić się również w zasadniczej zmianie postawy obozu „sanacyjnego" w stosunku do Sejmu. Chociaż więc Sejm opozycję swą posunął tak daleko, iż trzy wniesione przez rząd projekty ustaw podatkowych odrzucił bez dyskusji w pierwszem czytaniu, co, jak przyznaje „Czas" krakowski, było wypowiedzeniem się „już nie tylko faktycznie ale i formalnie przeciw rządowi", najnamiętniejszy dotąd przeciwnik „sejmowładztwa", p. Wojciech Stpiczyński, nieoczekiwanie domaga się w „Głosie Prawdy" nie „polityki silnej ręki", ale... „wielkoduszności":

„Będziemy jednak"—pisze — „apelować doń (do Rządu, przyp.), by zachował w danym wypadku wielkoduszność w wyrozumiałości dla błędów błąkających się w niepewności parlamentarzystów..."

O ludu, raduj się „wielkoduszną wyrozumiałością" swych władców! A „Czas" krakowski formułuje tenże program w tonie mniej patetycznym, ale dokładniej:

„Może jest w Sejmie pewna ilość ludzi i grup, rozumiejących niebezpieczeństwo ostrego starcia. — I chyba nie byłoby zawiele żądać, aby grupy te porozumiały się ze sobą co do gładkiego przeprowadzenia najważniejszych rubryk budżetu w Sejmie. Byłby to dobry zadatek na przyszłość."

Na jaką „przyszłość"? Czyżby chodziło tu o zapowiedź Rządu, opartego na większości parlamentarnej? Jakże zmieniają się „Czasy"!

Wiadomości dzienników o stanie zdrowia premjera Piłsudskiego są nader skąpe. Kilkakrotnie już wspominany „Czas" krakowski w telegramie z Warszawy donosi, że „stan zdrowia marszałka Piłsudskiego przedstawia się obecnie znacznie lepiej", marszałek „musi jednak jeszcze unikać silniejszych wzruszeń i dlatego nie bierze udziału zbyt czynnego w dyskusjach politycznych".

W polityce zagranicznej najważniejszem zdarzeniem były wybory do parlamentu niemieckiego i do sejmu pruskiego. Wykazały one wzrost wpływów partji socjalistycznej (posiadała poprzednio 131 mandatów, obecnie zdobyła 152) oraz komunistycznej i osłabienie partyj prawicowych, przedewszystkiem stronnictwa niemiecko-narodowego (poprzednio 103 mandaty, obecnie 73). Wynik ten jest znamienny, jako dowód wzrostu radykalizmu, zwłaszcza w północnej, protestanckiej części Niemiec, jednakże na politykę zagraniczną Rzeszy Niemieckiej nie wywrze on prawdopodobnie większego wpływu. Zwłaszcza nie wywrze on niewątpliwie żadnego wpływu na stosunki niemiecko-polskie. „Kto zna naród niemiecki"—pisał już po ogłoszeniu rezultatu wyborów organ ministra Stresemanna, dziennik *„Taegliche Rundschau"*—„ten wie, że oburzenie z powodu krzywd doznanych na granicy wschodniej, trwa w narodzie niemieckim niezmienione". Pośrednio natomiast powodzenia wyborcze lewicy niemieckiej mogą przynieść ten skutek ujemny, że w opinji narodów zachodnio-europskich, zwłaszcza we Francji, wzrosną wpływy ugrupowań pacyfistycznych, które cały swój program opierają na „dobrej woli" demokratycznych, „nowych" Niemiec.

Wybory w Niemczech przyniosły bolesną klęskę mniejszości polskiej, która utraciła oba posiadane dotychczas mandaty do sejmu pruskiego i obecnie nie ma już swego przedstawicielstwa ani w sejmie pruskim ani w parlamencie Rzeszy. Społeczeństwo polskie musi nareszcie zrozumieć znaczenie tej klęski, w wielkiej mierze spowodowanej haniebną poprostu obojętnością, z jaką odnosi się ono do losu rodaków z poza kordonu, ostatkami sił walczących o polskość ziemi piastowskiej przeciwko niemieckiej przemocy.

Polityka ustępstw i uprzejmości w stosunku do Litwy nie wydaje pożądanych owoców. Nietylko rokowania bezpośrednie, rozpoczęte jeszcze w Królewcu, pozostają w dalszym ciągu bez wyników, ale rząd litewski pozwolił sobie ponadto na tak bezczelną prowokację w stosunku do Polski, jak ogłoszenie nowego tekstu Konstytucji, uznającego Wilno za stolicę Litwy. Wiadomo powszechnie, jak dalece ugruntowane są w chwil obecnej na Litwie wpływy niemieckie, dlatego też to nowe posunięcie polityczne pp. Waldemarasa i Smetony jest jednym więcej przykładem, w jaki sposób przyszły rozwój stosunków z Polską wyobrażają sobie... dyplomaci berlińscy.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

KWARTALNIK KLASYCZNY

FAKT, że po „siedmiu latach chudych" odżyło i zmartwychwstało wiele zasłużonych czasopism naukowych, sam przez się byłby pocieszający, ale jeszcze niezadowalający, gdyż świadczyłby conajwyżej, żeśmy się tylko zrównali z przedwojennym stopniem kultury i wiedzy. Dowodem prawdziwego rozwoju i postępu w tej dziedzinie jest dopiero coraz częstsze powstawanie nowych tego rodzaju placówek.

Gdy chodzi specjalnie o dział humanistyki, mamy do zanotowania parę nowych wydawnictw perjodycznych; w sumie razem z dawniejszemi tworzą one wciąż jeszcze poczet zawstydzająco skromny w porównaniu z tem, co na tem polu mają np. Czesi. Dość wspomnieć, że slawistykę reprezentuje u nas jedynie — świetnie zresztą redagowana—*„Slavia occidentalis"*, bo lwowski „Ruch słowiański" narazie istnieje tylko w prospekcie. Poloni-

styka na właściwie tylko jeden nabytek perjodyczny w postaci miesięcznika „Ruch literacki". Romanistyka i germanistyka marzyć jeszcze u nas nie mogą o swym organie. To też za rzecz znamienną i uwagi godną należy uznać szczere i rzetelne ambicje dziedziny naukowej, pod najsroższą dziś pozostającej ekskomuniką. Mówię o filologji klasycznej.

Wydawane od lat trzydziestu kilku we Lwowie czasopismo „Eos" skupia przy sobie od samego początku swego istnienia szereg wybitnych uczonych, a prace w niem zamieszczone zyskały sobie wielkie uznanie sfer naukowych w kraju i zagranicą. Obok tego zasłużonego organu powstało w zeszłym roku—również we Lwowie—drugie czasopismo poświęcone filolgji klasycznej, a noszące tytuł „Kwartalnik klasyczny". Pomyśli ktoś: czy nie dwa grzybki w barszczu? Na to odpowiedzią będzie choćby przelotne perównanie obu pism, tłumaczące ich zadania, a tem samem i potrzebę. Otóż „Eos", wydawany w języku łacińskim i francuskim ma charakter ściśle naukowy i stanowi pomost między nauką polską a światową; natomiast „Kwartalnik", redagowany w języku polskim, ma na oku przedewszystkiem szersze rzesze Polaków interesujących się kulturą klasyczną (a do tych powinni należeć nietylko filologowie), pozatem omawia nietylko uczone kwestje dotyczące „czystej wiedzy" filologicznej, ale także — i to przedewszystkiem — sprawy aktualne, związane z kształtowniem kultury polskiej, której piastunkami (i to wytrawnemi!) były tak długo Roma i Hellada.

Aktualnością nacechowany jest w pierwszym roczniku przedewszystkiem artykuł dyr. L. Jaxy-Bykowskiego „O ustrój gimnazjum", gdzie autor rozprawia się z forsowanemi w ostatnich czasach projektami utożsamienia niższego gimnazjum ze szkołą powszechną. O stosunku klasycznego i humanistycznego typu gimnazjów do prądów w społeczeństwie i do programów ministerjalnych mówią artykuły Goliasa i Ogrodzińskiego, częściowo i Lewickiego; paralelę do nich stanowi artykuł St. Cygana o nauczaniu języków klasycznych w szkołach pruskich. W obronie wychowania klasycznego pięknie przemawia prof. Zieliński wykazując, że w krajach kulturalnych — w Anglji, Ameryce, Francji, Niemczech, Włoszech — wykształcenie klasyczne jest podstawą szkoły średniej, natomiast „szkoła klasyczna została doszczętnie zniszczona" tylko w „państwie pogrążonem w beznadziejnej otchłani zmroku kulturalnego" t.j. w Rosji carskiej i bolszewickiej. Sekundują Zielińskiemu zamieszczone w numerach „Kwartalnika" artykuły Stanleya Baldwina, przezydenta Coolidge'a i Anatola France'a, którzy w wykształceniu klasycznem widzą nietylko chlubę ale i dźwignię cywilizacji swych narodów.

O tradycjach kultury i szkoły łacińskiej w Polsce piszą rzeczowo a ciekawie Jamrógiewicz i W. Śmiałek. Artykuł tego ostatniego — bardzo pięknie napisany — domagałby się uzupełnienia kilku szczegółami o naszych wielkich pisarzach, którzy—jak Sienkiewicz, Weysenhoff, Żeromski — głośno i otwarcie przyznawali się do tego, ile zawdzięczają wykształceniu klasycznemu. Dla przeciętnego czytelnika literatury ojczystej wart poznania byłby fakt, że niektórzy z naszych świetnych poetów i powieściopisarzy, — że wymienię tylko Kochanowskiego, Mickiewicza, Kraszewskiego, Kasprowicza, Żeromskiego, Rydla, — parali się filologją w sposób zgoła naukowy, co nietylko nie krępowało im skrzydeł, ale nawet dodawało tymże większej sprężystości. Lozańskie wykłady Mickiewicza, imponujące ogromem i erudycją, a uporządkowane z chwalebnym pietyzmem przez prof. J. Kowalskiego, niestety nie mogą doczekać się wydania; oby lepszy los spotkał prelekcje Kasprowicza! O Kasprowiczu jako tłumaczu dzieł klasycznych piękną notatkę daje w nrze. 1 „Kwartalnika" jego uczeń, a obecnie jeden z najświetniejszych stylistów polskich, Jan Parandowski. Hołd Kasprowiczowskim przekładom Ajschylosa oddaje też Miecz. Piszczkowski w artykule „O przekładaniu i przekładach", gdzie wyszczególniając różne typy tłumaczeń, ponad wszystkie stawia przekład „żywy i artystyczny". Dodam, że w ostatnich zeszytach „Kwartalnika" coraz częściej pojawiają się poetyckie przekłady utworów klasycznych, niekiedy wcale ładne.

Do aktualnych należą też bardziej szczegółowe artykuły Rączego i Schächterówny o metodyce nauczania języków klasycznych. Wiąże się z niemi artykuł prof. Krokiewicza o powstaniu, rozwoj i stanie obecnym gramatyki greckiej i łacińskiej. Zainteresowanie szerszego ogółu wywołać mogą artykuły: Sinki (o podróży do Grecji), Gostkowskiego (o nowych wykopaliskach w Pompei) i Michałowskiego (o rzeźbach Niobidów). Dodam, że bogaty dział ilustracyj powinien zwiększyć to zainteresowanie. Każdy z zeszytów zamykają notatki bibljograficzne oraz kronika, w zwięzły sposób zaznajamiająca czytelnika z ruchem filologicznym u nas i w szerokim świecie.

Drugi rok istnienia „Kwartalnika" pod dobrą stoi wróżbą: lista współpracowników — i to tęgich — coraz bardziej rośnie, a rośnie, rosnąć będzie i powinna także i liczba prenumeratorów, dając trwałą podstawę finansowemu bytowi pisma. Albowiem „Kwartalnik" jest dziś bodaj jednem czasopismem naukowem, nie korzystającem z subwencji rządowej (nb. subwencją cieszą się u nas niekiedy i pisma — humorystyczne, o politycznych nie mówiąc) i oświadczającem dumnie, że iść chce tylko o własnej sile. Siłą tą jest skoordynowana współpraca i życzliwość ze strony miłośników kultury klasycznej (a tych w państwie kulturalnem powinno być jak najwięcej!), nadewszystko zaś energja redaktora, świetnego filologa, prof. Ryszarda Ganszyńca. Uczony ten, jak słychać, powziął nowy, równie śmiały plan wydawania pisma poświęconego humanizmowi polskiemu, zwłaszcza literaturze polsko-łacińskiej, której sam niezrównanym jest znawcą. *Fortes fortuna iuvat!*

JÓZEF BIRKENMAJER

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Utalentowana poetka (pamiętamy jej pełen młodzieńczej świeżości „Bunt Lawin", kunsztowny „Mój Film" oraz świetne przekłady poezyj Wolkera), Kazimiera Alberti ogłosiła niedawno pierwszą swą powieść p. t. „Tatry, narty, miłość". Porządkowi zawartemu w tytule, odpowiada stopień sukcesu, osiągniętego przez autorkę w przedstawieniu poszczególnych tematów: najbarwniej może wypadły w jejopisie Tatry, najbladziej — miłość.

Kazimiera Alberti nie sili się na głębię, na stawianie i rozwiązywanie problematów, z upodobaniem natomiast opisuje wrażenia, dostarczane przez świat zewnętrzny, rozkosz pędu saniami na Cyhrli, albo konkurs narciarski w Jaworzynce. Tak się zdarzyło, iż autorka zna Zakopane i okolicę, Kopenhagę i Helsingör. To też powieść w ten sposób została ułożona, iż wypadki rozgrywają się naprzemian w Tatrach i na wyspie Sjaelland. Daje to poszczególnym opisom cenną konkretność, widać z nich, że autorka przedstawia świat sobie znany, opisuje swe wrażenia rzetelnie, — przytem w sposób nie pozbawiony wdzięku.

Na zaznaczenie zasługuje chwalebna dbałość o bogactwo i poprawność polszczyzny.

*

Znany szeroko i chlubnie zagranicą w sferach politycznych przyjaznych Polsce p. Antoni Żwan wydał „Wspomnienia z Riviery francuskiej" (Warszawa 1928), opisujące udział Polaków w życiu politycznem i towarzyskiem od r. 1877—1927. Autor, odwiedzający stale modne i bogate ogniska wczasów rodowej i pieniężnej arystokracji na wybrzeżu morskiem francusko-włoskiem, zebrał z bezpośrednich stosunków z tą sferą wiele wiado-

mości i ciekawych wiadomostek o wpływie Polaków na bieg wypadków politycznych. Kronika ta, pisana lekko i zajmująco, będzie miała dla historyków tego okresu znaczną wartość.

*

Nakładem księgarni K. Rzepeckiego w Poznaniu wyszła książka p. t. „Dzieje wojska polskiego na Syberji" (cykl „Boje polskie" t. XIII). Autor, p. Jan Rogowski, w dywizji syberyjskiej (V dyw. wojsk jen. Hallera) nie służył, co gorsza nie miał w rękach źródeł znajdujących się w archiwum dyw. syb., to też praca jego oparta na istniejących już monografjach (Dybskiego, Pindeli i Bagińskiego) ma charakter kompilacyjny, a nawet jako kompilacja ma poważne braki, gdyż p. Rogowski widocznie pozbawiony jest zmysłu chronologji i pragmatyczności, bez czego dzieło historyczne nie może być uważane za poważne. To też niedość, że szereg nazwisk przekręcono (Cziszmę na Cisnę, Bugurusłan na Bogurusłań, Janin'a na Janine'a, z majora Józefa Świrszczewskiego, poległego niedawno w wypadkach majowych, zrobiono kapitana Ignacego Świerszczewskiego i t.d. i t.d.), niedość, że dopuszczono się szeregu omyłek, ale co najgorsza, przeoczono fakty tak ważne, jak powstanie 3 pułku strzelców (w Irkucku i Semipałatyńsku), jak formację pułku jazdy etc. etc. Autor nie wyzyskał też wielu źródeł drukowanych, jak pamiętniki jen. Janina, jak książki Jerzego Bandrowskiego, jak artykuły adw. Gońskiego, Józefa Birkenmajera, S. Nawrockiego, Przecława Smolika i in., jak niedawno wydana monografja o więźniach ideowych, jak prace historyków czeskich, które wymienia Kudela w *„Prehledzie Slowanskym"*. Chudość swej pracy maskuje p. R. szumnemi frazesami, mającemi widocznie odwrócić uwagę czytelnika od kwestji tak bolesnej i po dziś dzień dręczącej sumienia niektórych ludzi, jaką było zmarnowanie silnej jednostki wojskowej polskiej na obczyźnie.

*

Zalety poważnej pracy naukowej ma książka ks. dr. Mieczysława Węglewicza „J. A. Komeńskiego *Didactica magna* i system szkolny Komisji Edukacji Narodowej" (Warszawa 1927). Autor oparł się na gruntownej literaturze, dotyczącej rzeczonego przedmiotu, ponadto korzystał z bezpośrednich źródeł związanych z Komisją Edukacyjną, wydobywając na jaw wiele szczegółów mało znanych. Co się tyczy Komeńskiego, to dzieła jego bezpośrednio wpłynąć na pracę Komisji nie mogły (choć Bielińskiemu nie obcy był *„Orbis pictus"*), zwłaszcza że sama *„Didactica"* dopiero w XIX w. została ogłoszona, jednakże pośredni wpływ—przez Locke'a i Rousseau —jest oczywisty, co więcej między dziełem wielkiego pedagoga czeskiego z XVII w., a dziełem Komisji w XVIII w. jest tyle punktów stycznych, że rozważanie ich prowadzi do ciekawych wniosków ogólniejszej natury. Na porównaniu w każdym razie lepiej wychodzi Komisja, gdyż dzieło jej sięga dalej (uwzględniając np. wychowanie fizyczne młodzieży, o którem Komensky jeszcze był nie myślał) i głębiej (stawiając jaśniej postulat oparcia wychowania na religji). W dość skąpej jeszcze u nas (mimo Karbowiaka, Danysza i Kota) dziedzinie badań nad historją pedagogji, praca ks. Węglewicza zajmie niewątpliwie poważne stanowisko.

*

W powieści „Krwawy poeta" zajmuje się młody pisarz węgierski Dèrsö Kosztolanyi, dziejami Nerona, jednakże w sposób zgoła odmienny od Sienkiewicza, możnaby o nim powiedzieć, że umyślnie omija wszystkie szczegóły, które tamtemu posłużyły za materjał *„Quo vadis"* (np. pożar Rzymu i prześladowania chrześcijan). Wątek powieści zaczyna sie od lat najmłodszych Nerona, mówiąc ściśle od chwili otrucia Klaudjusza przez Agrypinę. Opis tej śmierci niezupełnie jest w zgodzie z tradycją przekazaną przez wszystkich dziejopisarzy, w dalszym jednak ciągu fabuły autor trzyma się naogół wiernie szczegółów zaczerpniętych z Tacyta, a zwłaszcza ze Swetonjusza. Za Tacytem idzie zwłaszcza w opisie śmierci Seneki, pozatem charakter filozofa—poety został mocno skrzywiony i wyjaskrawiony, przetwarzając się mimowoli w typ pół-komedjanta (nawet wbrew intencjom autora, a w sprzeczności z tradycją historyczną). Przekład polski tej ciekawej zresztą, a dobrze zbudowanej powieści, wydany przez księgarnię K. Rzepeckiego w Poznaniu, w niektórych miejscach zawiera drobne usterki językowe.

*

Zasłużona instytucja wydawnicza, krakowska „Bibljoteka Narodowa" publikuje w swej „serji II" przekłady z obcych literatur. (Za mało stanowczo dotychczas poświęcano tam uwagi piśmiennictwom słowiańskim). Ostatnio wydano tam (jako nr. 50) nowy przekład słynnego staroruskiego eposu *Słowo o połku Igorewie*, dokonany przez Julj. Tuwima (p. t. „Słowo o wyprawie Igora"). Mamy więc nowy przekład, nie wszędzie wierny, niemniej niewykazujący znacznych odstępstw. Dużą naukową wartość posiada wstęp krytyczny o eposie, opracowany przez prof. Al. Brücknera, mający na celu przedewszystkiem objaśnienie trudniej zrozumiałych partyj tekstu.

U SŁOWIAN

Urzędowy dziennik bułgarski, po francusku wydawana *„La Bulgarie"* przyniosła z końcem marca b. r. (nr. 1404) sprawozdanie z interesującego odczytu, który wygłosił wtedy w Sofji p. Malczo Nikołow, o stosunku wielkiego poety bułgarskiego Penczo Sławejkowa do Mickiewicza. Sławejkow jest autorem poematu epicznego *„Krwawa pesen"* („Krwawa pieśń"), w którym to utworze prelegent wykazał wpływ „Pana Tadeusza". Wpływ ten uwidocznia się tak w przebijającem w obu dziełach gorącem umiłowaniem ojczyzny i sławieniu walki za jej wolność, jak i w szeregu szczegółów epizodycznych czy krajobrazowych. Odczyt ten jest jednym więcej przyczynkiem do dziejów wpływu polskiej poezji romantycznej na odrodzenie narodowe innych ludów słowiańskich.

*

W połowie kwietnia b. r. przyniosła *„La Bulgarie"* (nr. 1425) w rubryce literackiej zajmujący artykuł Nik. Donczewa o stanie znajomości piśmiennictw innych narodów słowiańskich w Bułgarji. Pisze on tam, że znajomość ta jest z wyjątkiem literatury rosyjskiej niewielka. Nadto jako tako zna się literaturę polską. „Ostatnio dało się zauważyć dosyć duże zainteresowanie... w szczególności dla literatury polskiej, dzięki akcji prowadzonej już od kilku lat przez towarzystwo Polsko-Bułgarskie. To towarzystwo rozpoczęło wydawanie osobnej bibljoteki, w której dotychczas ukazał się szereg znakomitych dzieł literatury polskiej"... „Literatura polska znalazła w osobie zmarłego prof. Bojana Penewa znawcę wielce cenionego i jemu to w wielkiej mierze zawdzięcza ona zainteresowanie, którem się cieszy w Bułgarji".

Z przyjemnością zatem stwierdzamy, że zainteresowanie dla nas w Bułgarji i teraz nie osłabło, a polonofilska praca prof. Penewa i nadal wydaje owoce.

*

Kwietniowy (4-y) numer praskiego miesięczniki *„Slovansky Prehled"* zawiera: M. Gorkij (szkic jubileuszowy prez J. Hostovsky'ego). Pierwszy kryzys słowiański w Czechach (K. Krejci, dokończ.). Opozycja w rewolucji bolszewickiej, Trockizm (J. Slavik); nadto stałe przeglądy polityczne i kulturalne. W przeglądzie politycznym podkreśla się dalszy rozwój kulturalnej wzajemności polsko-czeskosł. „uwydatniający się ostatnio zwłaszcza w wielkiej ilości polskich wycieczek i wyjazdów naukowych do Czechosłowacji". W numerze tym znajdujemy dokończenie nader interesującego studjum K. Krejciego, doktora polonistyki uniw. praskiego, o wpływie powstania listopadowego na rozwój myśli narodowej czeskiej. Autor omawia w tym numerze stosunek do powstania młodej generacji czeskiej, szczerze polonofilskiej dalekiej od dawnego bezkrytycznego rusofilizmu. Rysuje sylwetki poetów polonofilskich (kanonik Stulc, K. Sabina i in.), nadto wspomina i entuzjazm dla Polski ówczesnych liberalnych kół niemieckich, także wśród Niemców czeskich.

*

Jeszcze z końcem r. ub. ukazało się w Pradze (wyd. *Ves mir*) nowe cenne dzieło historyczne, zawierające opracowanie dziejów całej słowiańszczyzny: *„Dejiny Slovanstwa"* napisał prof. dr. Jarosław Bidlo. (Dzieło to wyszło jako pierwszy tom zbiorowego wydawnictwa *„Slované"*, w którem ukażą się monografje o poszczególnych działach nauki o słowiańszczyźnie). Prof. Bidlo przy opracowaniu materjału wyszedł z podstawowego założenia, że historje poszczególnych ludów słowiańskich są składnikami dziejów Słowiańszczyzny wziętej jako całość, starał się też uwydatnić wszelkie momenty, popierające tezę o wspólności cywilizacji słowiańskiej. Tego rodzaju praca syntetyczna powiodła się autorowi naogół. Dzieło posiada pewne usterki, niekiedy i znaczniejsze—są one jednak łatwe do wytłumaczenia przy ogromie materjału. Zajmujący jest podział historji Słowiańszczyzny jako całości, zastosowany przez autora, na cztery epoki: I do końca X stulecia, okres tworzenia się państw słow. i podziału na dwie grupy cywiliz.; II koniec X do pocz. XVII stul. okres kolejnego (Czechy, Serbja, Polska, Rus) wzrostu i rozwoju państw słow.; III pocz. XVII—koniec XVIII stul.: okres upadku państw słow.; IV od przełomu XVIII i XIX stul. do wojny światowej: okres odrodzenia narodowego i politycznego Słowian.

*

Ukazał się ostatnio 80 rocznik wydawnictwa Macierzy Górnołużyckiej w Budziszynie: *„Casopis Maćicy Serbskeje"*, redagowanego nadal przez sędziwego uczonego prof. dr. Ernesta Mukę. Zawiera część naukową i literacką. W pierwszej mamy artykuły przeważnie historyczne i językoznawcze, cenną bibljografję wydawnictw łużyckich za lata 1925/26 (opr. J. Wjacsławk). Dolna Łużyca bezlitośnie gnieciona jarzmem pruskiem ma w roczniku szereg przedstawicieli: pastor B. Swela podaje

próbkę przekładu biblji, głównie zaś zajmuje nas tam *„wenask“* (wianeczek) wierszy poetów dolnołużyckich M. Kósyka, Fr. Rochy, M. Demaskojc, M. Witkojc i W. Serba, tchnący gorącem umiłowaniem ziemi i mowy ojczystej; artystycznie najwyżej stoją utwory nader utalentowanej poetki Miny Witkojc.

*

Ciekawą próbę ujęcia w całość dotychczasowych prądów anarchistycznych na Ukrainie dał ostatnio M. Jaworskyj w swej w Charkowie wydanej pracy p.t. *„Narysy z istoriji rewolucyjnoji borot'by na Ukrajini“* (obrazki z dziejów walki rewolucyjnej na Ukrainie). Dzieło, przedstawiające wypadki od pocz. XI stulecia, posiada istotną wartość jako obraz rozwoju gospodarczego ziem naddnieprzańskich; autor jest fachowcem w historji ekonomicznej. Fakty z historji polityczno-socjalnej są interesujące, niemniej częściowo przynajmniej nie wydają się ścisłe i bestronne (oczywiście mamy na myśli przedewszystkiem okres „hajdamaczyzny“). Całość potraktowana jest z punktu widzenia proletarjackiego, jako dzieje stopniowego wyzwalania się ludu z pod władzy najpierw książąt rodzimych, potem tatarskiej, wreszcie polskiej. Główną część dzieło zajmuje jednak stulecie XIX, od dekabrystów zacząwszy.

*

„Wszechukraińska Akademja Nauk“ w Kijowie wydaje interesujący dwumiesięcznik naukowy, rodzaj permanentnej encyklopedji o wszystkich z ukraińskością związanych kwestjach, p.n. *„Ukrajina, naukowyj dwochmisiacznyk ukrajinoznanstwa“*. W ostatnim (6-ym) numerze za r. 1927 znajdujemy w tem piśmie szereg prac wiążących się z poetą Michałem Maksymowyczem, z okazji stulecia ukazania się jego „Pieśni małoruskich“. Jeden z artykułów, pióra Woł. Hnatiuka zajmuje się „wpływem“ Maksymowycza na poetów t. zw. szkoły ukraińskiej w Polsce, zwłaszcza u B. Zaleskiego mają się znajdować reminiscencje „Pieśni małoruskich“, nadto wymienia autor Mich. Grabowskiego i Al. Grozę. Istotnie twórczość Maksymowycza wzbudziła wówczas u nas duże zainteresowanie.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Niezwykłego powodzenia doznała we Francji książka młodego historyka Pierre'a Gaxotte'a, poświęcona Wielkiej Rewolucji (*„La Révolution Française“*), której w przeciągu paru miesięcy rozeszło się kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy. Jest to świetna synteza wypadków W. Rewolucji, w której przedstawienie faktów wiąże się ściśle z ich wyjaśnieniem.

Praca ta rzuca nowe światło na przyczyny i charakter rewolucji francuskiej, rozwiewając ostatecznie mgławicową legendą, wyrosłą na jej tle.

*

H. Béraud, autor znany czytelnikom polskim z przekładu interesującej książki *„Ce que j'ai vu á Moscou“*, wydał ostatnio swoje wspomnienia dzieciństwa p. t. *„La Gerbe d'Or“*.

*

Historyk J. Lucas-Dubreton napisał książkę o autorze „Trzech Muszkieterów“ (*„La vie d'Alexandre Dumas pére“*), która daje barwny lecz ścisły opis nadzwyczajnego życia znakomitego powieściopisarza, życia pełnego osobliwych przygód, cudactw oraz wszelkich niepoczytalności, tchnącego wszakże ogromną żywotnością i rozmachem.

*

„Les Martyrs de la République“ (Ferenczi edit.) jest to wielkie dzieło, którego autorami są znani pisarze Marius-Ary Leblond. Dzieło to obejmuje aż cztery tomy: *„La Guerre des Ames“*, *„L'Ecartelement“*, *„La Damnation“*, oraz *„La Grâce“*, która właśnie obecnie wychodzi z druku. Każdy kto zechce bliżej poznać tę epokę, a zwłaszcza dramat dusz, spowodowany podziałem Kościoła i Państwa, ten z dużem zainteresowaniem i korzyścią odczyta tę patetyczną powieść, będącą prawdziwą historją polityczną i społeczną życia rodziny pod rządami Trzeciej Republiki. Autorowie poruszyli w niej całą gamę uczuć „ludzi przeciętnych“ z ich radościami, smutkiem, nienawiścią, miłością, a wreszcie Łaską, bez której szczęście jest nieosiągalne. Specjalne ciekawe są stronice poświęcone całemu szeregowi polityków, nietylko żyjących jeszcze, ale nawet stojących u steru rządów. Rozdziały zaś odnoszące się do Rzymu stanowią niewątpliwie szczery i głęboki hołd, złożony przez literatów dziełu Papiestwa, specjalnie zaś wielkiej postaci, jaką był Papież Leon XIII-ty. Bracia Leblond są historykami sumiennymi, a bezstronnymi, to też dali pełny obraz tego ciekawego okresu dziejów Francji, w którym Trzecia Republika była rozszarpana zażartemi walkami politycznemi, mającemi za tło rozłam religijny. Dla tej też epoki „Męczennicy Republiki“ stanowią niezmiernie cenny dokument.

*

Żadna matka, a powiedzmy raczej żadna kobieta nie przeczyta bez szczerego wzruszenia pięknego zbioru opowiadań pani Henriette Charasson p. t. *„Deux petits hommes et leur mère“* (Flammarion). Są to poematy czyste, jasne, opiewające miłość do dzieci, a pełne harmonji i głębokiego liryzmu. Autorka z dużą subtelnością odkrywa przed nami tajemnicę radości życia, nieodłączonej dla niej od prawdziwego powołania kobiety, którem jest powołanie matki. Wtedy bowiem w jej duszy rodzi się rytm, równowaga, pokój...

*

„Reine d'Abrieux“ (Plon édit.) ostatnia powieść pani Jean Balde, to historja jak świat stara, ale zawsze powtarzająca się, młodej istoty, zawiedzionej w swych marzeniach, a która wychodzi za mąż bez istotnej miłości. Mąż Reine d'Abrieux jest w dodatku zazdrosny, podejrzliwy, a ona żyje zrazu wspomnieniami innego człowieka. Pozbawiona tego uczucia, Reine pragnie znaleść zapomnienie w uczuciu matczynem. Ale i ta pociecha zostanie jej odebrana, a wówczas młoda kobieta jeszcze bardziej odsuwa się od męża i jest na drodze ku popełnieniu nieodwołalnej winy. Kierowana atoli poczuciem własnej godności zatrzyma się nad przepaścią. Powrót do domowego ogniska, pozyskanie miłości męża, uzdrowi jednak zngkaną duszę. Psychologja trafna, a życie prowincji odmalowane bardzo barwnie i ciekawie.

*

„Psyché“ (Albin Michel édit.), to pośmiertnie wydana powieść, znanego pisarza Pierre Louys. Autor pracował nad nią przez lat dwanaście. Jest też ona niejako syntezą jego twórczości: doskonała pod względem formy i języka, a promiejąca pod względem intensywności uczucia. Temat Psyche, to dramat namiętnej miłości. Ale z chwilą, gdy ustanie jej hypnoza, straszliwe, śmiertelne zapanowują ciemności. Psyche jest też właściwie przepysznem rozwinięciem tematu Afrodyty, innej powieści Pierre Louys. O Psyche autor często rozmawiał ze swymi przyjaciółmi, a przedewszystkiem z Claude Farrère, który na podstawie właśnie jego zwierzeń dodał na końcu jej konkluzję.

*

Georges Oudard, autor ciekawej biografji sławnego Jana Law, ojca inflacji, publikuje obecnie razem z Dmitri Novik tom opowieści, poświęconych Rosji, a noszących tytuł *„Les Chevaliers mendiants“* (Plon édit.). Opowieści tych jest osiem. Pierwsza z nich opisuje w jaki sposób uformowała się armja Denikina dookoła małej garści wolontarjuszy wynędzniałych, tych właśnie „żebrzących rycerzy“. W dalszych dowiadujemy się znowuż o przygodach tych żołnierzy, ściganych, sądzonych, masakrowanych w sposób okrutny. Na zakończenie zaś tej strasznej, a prawdziwej epopei dodana jest także historja ostatnich miesięcy istnienia armji Wrangela, który, jak wiadomo, niedawno umarł w Belgji. Książka ciekawa, a niewątpliwie oparta na przeżyciach osobistych jednego z autorów.

*

Maurycy Verne, autor niezmiernie interesującej powieści *„Le Secret de Babylone“* (Albin Michel édit.) w której ujawnił tajemnicę sławnego stowarzyszenia *„Le sceau de Daniel“*, pracującego nad przywróceniem na tron Hohenzollernów, przygotowuje obecnie nową powieść *„Voluptueuse Asie“*, w której zajmuje się tajnemi stowarzyszeniami Chin i Indji.

*

Lorenzi de Bradi, który niedawno wydał ciekawą książkę o młodości Napoleona, nazywanego Nabulione na Korsyce, pracuje teraz nad utworem o Don Juanie.

*

Suzanne Normand, autorka powieści *„Cinq femmes sur une galère“*, która wywołała ogólne zaciekawienie i żywe dyskusje, gdyż zdaniem tej pisarki istotnem powołaniem kobiety jest zamążpójście, ukończyła już nową powieść p. t. *„La Maison de laideur et de lèsine“*.

*

Wyszło ostatnio w Turynie zbiorowe dzieło poświęcone faszyzmowi p. t. *„La Civiltà Fascista“*, (str. 688), które w trzech swoich częściach (Historja, teorja, czyny), obejmuje całokształt wysiłku faszystowskiego. Wstęp do książki jest pióra Mussoliniego, po nim idą prace najwybitniejszych pisarzów obozu faszystowskiego. Oto niektóre ich tytuły: G. Volpe „Rozwój historyczny faszyzmu“, V. Morello „Rozkład starego *regime*'u“; G. Gentile „Istota faszyzmu“; G. Saita „Religja i faszyzm“; E. Bodrero „Nowe widnokręgi myśli politycznej we Włoszech“;

Balbino Giuliano „Faszyzm i przyszłość kultury“; Sarfatti „Sztuka a faszyzm“; Andrea Torré „Nowy duch polityki zagranicznej włoskiej“; Alfred Rocca „Prawodawstwo“; E. Rossoni „Syndykalizm rewolucji“; N. Reudo „Szkoła i faszyzm“; G. Bottai „*La carta del Lavoro*“ i t. p.

*

Problem małżeństwa jako zdobyczy kultury dyskutuje Ernest Pascal w swej powieści „*The marriage bed*“. Tezą E. Pascala jest, że małżeństwo nie może zależeć od przelotnych kaprysów zmysłów i nieporozumień między małżonkami. Bohaterka powieści E. Pascala patrzy z pełnem pobłażaniem i wyrozumieniem na zdrady popełniane przez jej męża, uważając jego wybryki za coś, co nie może zakłócić harmonji ich pożycia. Rzecz E. Pascala przedstawia się interesująco, jako wyraz panujących dziś w pewnej części społeczeństwa angielskiego poglądów i nastrojów.

TEATR

WZNOWIENIE KORZENIOWSKIEGO

TEATR Narodowy dał nadspodziewanie dobre widowisko retrospektywne, wznawiając wyciągniętą z zapylonej szafy bibljotecznej, od niepamiętnych czasów nigdzie nie graną komedyjkę Korzeniowskiego p. t. „Zaręczyny aktorki“. Dopełniono wieczoru „Majstrem i czeladnikiem“ tegoż autora, utworem uważanym w latach niepowrotnie minionych za gwóźdź repertuarowy przez najpierwsze sceny, dzisiaj zaś wystawianym prawie wyłącznie po teatrzykach przedmiejskich i amatorskich. Ze sceny powiała na salę widzów miła atmosfera polskiej poczciwości, w sztukach nowych spotykana coraz rzadziej. Przedstawienie zostało wybornie wyreżyserowane przez p. Zelwerowicza, który świetnie w pierwszej sztuczce odegrał rolę dyrektora teatru. Największe oklaski zbierał p. Kurnatowicz w roli czeladnika. Majstra odtwarzał arcymajster Frenkiel. Brawurową kreację majstrowej dała Ćwiklińska. O ile pani Gorczyńska czuła się jak ryba w wodzie w roli aktorki o tyle panna Lindorfówna z wielkim mozołem wcielała się w skórę córki szewskiej.

ZAST.

ZMARLI

Ś. P. BRONISŁAWA OSTROWSKA

UBYŁ znowu jeden ze świetnych talentów pisarskch. W piątek dnia 18 b. m. zmarła w Krakowie Bronisława Ostrowska, wybitna gwiazda plejady, którą potocznie zwiemy „Młodą Polską“.

Urodziła się w latach osiemdziesiątych zeszłego wieku. Pierwszy jej tomik p. t. „Opule“ ukazał się pod pseudonimem Edmy Mierz. Wzbudził odrazu wielkie zainteresowanie kryształową czystością tonu poetyckiego. Następnie ukazywały się kolejno: „Poezje“ „Jesienne liście“, „Chusty ofiarne“ etc. Wszystkie wiersze Ostrowskiej były subtelnie nastrojowe, we wszystkich celowała pełną wdzięku rytmiką i niepokalaną polszczyzną.

Podczas wojny wydała piękną bajkę, zatytułowaną „Bohaterski Miś“. Po wojnie z pod pióra jej wyszła jedna z najwytworniej wydanych książek polskich p. t. „Książka jutra“.

Napisała także szereg bajek i opowiadań dla młodzieży. W ostatnich latach była ciężko chora. Osierociła męża Stanisława Ostrowskiego, autora pomnika Nieznanego Żołnierza i córkę Halinę, utalentowaną malarkę.

NA MARGINESIE

Pod patetycznym tytułem „Order *Polonia Restituta*“ na piersi zasłużonych Synów Ojczyzny“ dziennik „Głos Prawdy“ podaje nową listę odznaczonych. Znaleźli się między nimi: Hieronim Kon (niegdyś wydawca broszur popularno-naukowych jak „Małżeństwo a rzeżączka“, „Kobieta zbrodniarka“ itp.) Antoni Natanson, Wacław Maurycy Fajans, Maurycy Mayzel (reprezentant koła żydowskiego w prezydjum warszawskiej Rady Miejskiej), Jerzy Meyer (szef firmy „Herman Meyer“), Jakób Mortkowicz...

Może przez wzgląd na tych właśnie „zasłużonych Synów“ (przez wielkie S), dziennik „Głos Prawdy“ krzyż „*Polonia Restituta*“ nazwał taktownie nie krzyżem lecz... orderem...

*

W drugi dzień Zielonych Świątek (28.V) „Kurjer Poranny“ w artykule wstępnym zacytował parę ustępów z przemówienia, wygłoszonego na sejmowej komisji spraw zagranicznych przez p. Gralińskiego, posła z „Wyzwolenia“ i zapewne jedynego urlopowanego (na czas trwania mandatu) urzędnika M. S. Z. w składzie komisji.

„Sprawa ewakuacji Nadrenji“ — mówił p. Graliński — „w naszem rozumieniu, winna doczekać się jaknajszybszego definitywnego rozwiązania...“

Społeczeństwo ze zdumieniem dowiaduje się, że w sprawie, której punkt ciężkości leży w terminach, poseł na sejm i czynny jeszcze przed paru miesiącami urzędnik M. S. Z., domaga się rozwiązania „jaknajszybszego“.

„...jaknajszybszego definitywnego rozwiązania“ — ciągnął poseł Graliński. — „Zwłaszcza po ostatnim wyniku wyborów... Wierzymy, że demokracji niemieckiej, tak poważnie obecnie wzmocnionej, uda się tę sprawę należycie załatwić. Przedterminowa ewakuacja Nadrenji w głównym stopniu od niej zależy, gdyż ona jedynie może wytworzyć te wszystkie niezbędne dla bezpieczeństwa warunki, od których zależne jest zwolnienie jej terytorjum od obcej okupacji zbrojnej“.

*

Przemówienie to, istotnie interesujące jako parlamentarny debiut młodego urzędnika M. S. Z., spowodowało (podaje „Kurjer Poranny“) „tendencyjnie spreparowane“ „rozgłoszenie przez „*Berliner Tageblatt*“, tłustym nawet drukiem, że poseł Graliński (Wyzwolenie), który aż do chwili wyboru był urzędnikiem naszego Minist. Spr. Zagr., wystąpił jakoby, z poparciem postulatu niemieckiego co do natychmiastowej ewakuacji Nadrenji przez Francję ze względu na wynik wyborów niemieckich“.

Tendencyjność tego doniesienia rzuca się w oczy. „*Berliner Tageblatt*“ pisze o „natychmiastowej ewakuacji“, pos. Graliński mówił, że „sprawa ewakuacji Nadrenji domaga się jaknajszybszego rozwiązania“.

Skandal wzrasta, gdy się pomyśli, że ten błąd zrobił dziennik, a gdzie jak gdzie, ale w dziennikarstwie przedewszystkiem ścisłość obowiązuje.

*

Pod tytułem „Golem w Cyrku“ opisuje nacjonalistyczny żydowski „Nasz Przegląd“ próbę „wielkiego misterjum H. Lewika“ z udziałem „chóru Synagogi na Tłomackiem“ i „150 statystów“:

„Arenę wypełnił po brzegi olbrzymi tłum studentów i studentek, przed nimi zaś na wzniesieniu stał znakomity nasz tragik Karol Adwentowicz który przepięknym swym, metalicznym i do głębi wzruszonym głosem błagał i rozkazywał zarazem tłumowi:

— Uciszcie się i wejdźcie wszyscy do bóżnicy. Proszę was... rozkazuję!...“

„Nasz tragik“... Oczywiście żydowski, nie polski...—skoro tak go określa nacjonalistyczny żydowski „Nasz Przegląd“. P. Adwentowicz nie zastanawia się zapewne nad takim drobiazgiem, jak zagadnienie, czy wypada mu być artystą polskim czy żydowskim. W „wielkiem misterjum H. Lewika“ oczywiście nie występuje za darmo... Cóż dziwnego, że jest „do głębi wzruszonym“?

ERRATA

W artykule p. t. „O zasady narodowej polityki gospodarczej“ p. Z. Stahla, zamieszczonym w wydaniu „Myśli Narodowej“ z dn. 1 maja br. znalazł się zwrot następujący: „... z hasłem samowystarczalności, jako programem nieinteresowania się zagranicznemi rynkami zbytu, infiltrować mogą łatwo w naszą opinję publiczną tendencje... do pchnięcia kraju w kierunku produkcji wyłącznie surowców, rolnictwa i hodowli“. Otóż zdanie to w swojej pierwszej części winno było brzmieć: „z hasłem samowystarczalności, jako programem produkcji artykułów pierwszej potrzeby i t. d.“.

Czas odnowić przedpłatę za kwartał II i III.

Do numeru niniejszego dołącza się czek na P. K. O. № 3.105

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł. 9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM